

CZY  
TEL  
NIK

# ZABIŃSCY

A black and white photograph of three people. In the background, a man with short, light-colored hair looks slightly to the right. In the middle ground, a woman with dark hair looks directly at the camera with a serious expression. In the foreground, a man wearing a dark hat and a suit jacket looks towards the camera.

CÓŻ TO BYŁA ZA RODZINA!

TERESA  
CZERNIEWICZ-UMER



# **ŻABIŃSCY**

**CÓŻ TO BYŁA ZA RODZINA!**

**TERESA  
CZERNIEWICZ-UMER**



# CÓŻ TO BYŁA ZA RODZINA!

WSTĘP

Żabiński to nie jest bardzo rzadkie nazwisko. Na początku 2024 roku według danych rządowych w Polsce nosiło je ponad tysiąc sześciuset mężczyzn oraz ponad tysiąc siedemset pań. Żabińscy mieszkają nie tylko w Polsce, ale także w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii i w wielu innych krajach.

W dawnych dokumentach, rozmaitych innych źródłach pisanych, w starej prasie też można znaleźć to nazwisko. Burmistrzem Poznania w XVII wieku kilkakrotnie był Jan, a potem Stefan Żabiński, w 1834 roku burmistrz Jan Żabiński rządził Nowogrodem. Było kilku duchownych, między innymi kanonik poznański Stanisław, o którym pisano, że kiedy umarł w 1655 roku, to „nim go do grobu włożono, ożył, jakby się ze snu porwawszy, i jawnie przed wszystkimi zeznał; że za przyczyną Bogarodzicy Panny zbawienie otrzymał”<sup>1</sup>. Byli Żabińscy szlachetnie urodzeni, różnych herbów, jak Dołęga, Łodzia, Poraj, Rawicz, Sternberg. Byli i kmieciowie. Byli właściciele ziemscy, jak na przykład dziedzice Żabna i Chrząstowa, uczeni, urzędnicy i nauczyciele. Ludzie szlachetni i podli. Ekscentryczni i zwyczajni. W pierwszej połowie XIX wieku Wincenty Żabiński został rządcą dóbr klucza wilanowskiego należącego do Potockich. Stanisław żył w Poznaniu w pierwszej połowie XVII wieku i pisał wiersze. Z kolei Stefan z okazji swego ślubu w 1622 roku otrzymał w prezencie od Marcina Czaplica Kleca taki *Podarek na sławne wesele zacie urodzonych oblubieńców, szlachetnego pana Stephana Żabinskiego i szlachetnej panny, Anny Chrościewskiej...*:

lż zawsze szczerłość w domu Chrościewskich mieszkał<a>  
przetóż cnota za klejnot Łabędzia mu dała.  
Szczęśliwyś, cny Żabiński, że się dziś z nim bracisz,  
bo na jego przyjaźni nigdy nie utracisz<sup>2</sup>.

W 1928 roku bracia Żabińscy prowadzili w Lesznie pracownię tapicersko-dekoracyjną. Jana i Antoniego z Miastkowa uwięziono, a następnie zesłano na Syberię po powstaniu styczniowym. Kapitan Józef Żabiński zginął w Katyniu. W 1914 roku Antoni Żabiński został aresztowany za napad z nożem w Warszawie, a w roku 1899 Jan, mularz, wdał się w awanturę uliczną. Pani Żabińska miała w 1880 roku w Warszawie pracownię krawiecką, a inna w tym czasie uczyła śpiewu solowego. Żabiński uczęszczał około

1868 roku do warszawskiej Klasy Rysunkowej Wojciecha Gersona razem z Józefem Chełmońskim.

Można zatem podsumować, że na przestrzeni dziejów żyło wielu Żabińskich, różnych stanów i profesji, mieszkających i w dużych miastach, i w miasteczkach, i maleńkich miejscowościach. Sporo tych osób jest spokrewnionych z moją rodziną, jednak nie da się dzisiaj ułożyć wiarygodnego drzewa genealogicznego. Na pewno trzeba by je budować przede wszystkim z ludzi noszących herb Łodzia. To jeden z najstarszych polskich herbów szlacheckich, pochodzący – zdaniem niektórych heraldyków – z X wieku. Kasper Niesiecki tak opisuje ów znak: „Łodzia żółta czy złota [...] w polu czerwonym, jakby po krwi nieprzyjacielskiej”<sup>3</sup>.



Herb Łodzia, ilustracja z Herbarza polskiego Kaspra Niesieckiego

# JAN STEFAN ŻABIŃSKI – EKSCENTRYCZNY KASJER MENNICY WARSZAWSKIEJ I MASON

Najstarszy przodek z linii Żabińskich, co do którego mam pewność, że jest moim wstępnym, to Jan Stefan. Był dziadkiem mojej babci, a zatem moim prapradziadkiem. Nie wiadomo, jak się nazywali i kim byli jego rodzice, chociaż widziałam aż trzy dotyczące go akty stanu cywilnego. Niestety, na każdym figurują inne imiona rodziców, co poważnie utrudnia dalsze poszukiwania. Na jednym z nich matce przypisano nazwisko osoby sporządzającej akt chrztu. Najbardziej prawdopodobna wydaje się wersja czwarta: ojciec Jana Stefana miał na imię Marcin, a mamą była druga żona Marcina, Marianna Markiewicz, *primo voto* Mączyńska. Poza Janem z tego związku urodziły się jeszcze dwie dziewczynki: Krystyna Józefa i Rozalia. Marcin miał także dzieci z pierwszego małżeństwa z Katarzyną Mączyńską – Wincentego, Wojciecha, Walentego, Annę, Mariannę i Mariannę Antoninę. Tak więc Jan wychowywał się wśród sporej gromadki rodzeństwa. Był malutki, kiedy stracił ojca, bowiem Marcin zmarł w 1784 roku w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. Wiele wskazuje na to, że ów Żabiński był właścicielem drewnianego domu w Warszawie przy ulicy Bielańskiej, numer hipoteczny 596. Jakiś czas po śmierci Marcina, w 1804 roku, odbyła się licytacja posesji na rzecz wdowy i pozostałych sukcesorów. Na marginesie: za życia Marcina Żabińskiego przy Bielańskiej stały wyłącznie drewniane dworki; pierwszy murowany budynek wzniesiono tam w 1788 roku dla Królewsko-Pruskiej Kompanii Handlu Morskiego.

Pewne jest jedno: Jan Stefan Żabiński przyszedł na świat w Warszawie, tutaj mieszkał przez całe życie i wraz ze swoim miastem wielokrotnie zmieniał przynależność państwową. Urodził się w 1780 roku, a więc za panowania Stanisława Augusta. Rzeczpospolita była już po pierwszym rozbiorze i chociaż 3 maja 1791 roku uchwalono pierwszą polską konstytucję (Konstytucję 3 maja), wkrótce nastąpiły kolejne dwa rozbiory Polski. Jan Stefan miał piętnaście lat, gdy zaborcy zagarnęli kraj po raz trzeci. Nastolatek został wtedy poddany pruskiemu, bowiem w 1795 roku Warszawa znalazła się w obrębie tego właśnie zaboru i stała się prowincjonalnym miastem z niemiecką administracją – 9 stycznia 1796 roku została siedzibą władz departamentu warszawskiego prowincji Prusy Południowe. Językiem urzędowym w Warszawie był odtąd niemiecki. W 1807 roku sytuacja się zmieniła – miasto odzyskało status



Pałac KRZPiS przed 1939 r.,  
fot. Henryk Poddębski



Dawny gmach mennicy przy ulicy  
Bielańskiej w Warszawie

stolicy, tym razem Księstwa Warszawskiego. Nowo wyznaczony twór, formalnie niezależny, podporządkowany był Napoleonowi, a władcą Księstwa został na mocy unii personalnej z Saksonią monarcha saski Fryderyk August I. Ta namiastka państwa polskiego nie przetrwała długo. Już w styczniu 1813 roku Księstwo Warszawskie zajęły wojska rosyjskie, a w roku 1815 w myśl postanowień kongresu wiedeńskiego zostało ono zlikwidowane. Z większości jego terytorium utworzono Królestwo Polskie.

Kiedy Księstwo Warszawskie kończyło swój krótki żywot, Jan Stefan Żabiński pracował w Ministerium Skarbu. Na podstawie konstytucji Królestwa Polskiego z 1815 roku jego zadania przejęła Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu (KRZPiS). Była jedną z pięciu komisji rządowych stanowiących centralną władzę administracyjną w nowo utworzonym państwie. Zajmowała się między innymi wprowadzaniem w życie praw i ustaw skarbowych, zarządzaniem funduszami, wysuwaniem kandydatów na urzędy skarbowe wymagające nominacji królewskiej, mianowaniem urzędników niższych stopni. Kariera urzędnicza Jana Żabińskiego w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu przebiegała wzorowo. Do pracy nie miał daleko, mieszkał bowiem przy ulicy Leszno, a biuro mieściło się w pałacu przy placu Bankowym 3/5, dzisiejszej siedzibie Prezydenta Warszawy i Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy oraz Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego. Gmach ów powstał na miejscu dawnego siedemnastowiecznego pałacu Leszczyńskich, przebudowanego w XVIII wieku przez rodzinę Potockich. W 1818 roku pałac wynajęto na siedzibę wzmiankowanej Komisji, a w latach 1823–1825 gruntownie zmodernizowano według projektu Antonia Corazziego. Powstała wówczas klasycystyczna trójkondygnacyjna, trzyskrzydłowa budowla na planie podkowy, nakryta czterospadowymi dachami. Ozdobą korpusu głównego jest wielki, sześciokolumnowy portyk koryncki, zaś mniejsze portyki

jońskie dekorują skrzydła boczne. Od ulicy przykuwają uwagę ogromne kolumnady także w stylu jońskim.

Żabiński pracował tak sumiennie, że w nagrodę (wraz z wieloma innymi urzędnikami państwowymi) został wyznaczony do udziału w pochodzie żałobnym po śmierci cara i króla Polski Aleksandra I w 1825 roku. Kilka lat później, w 1829 roku, car Mikołaj I mianował go kawalerem Orderu Świętego Stanisława. Jan piastował wówczas stanowisko sekretarza dykcji kontroli w KRZPiS. Stał zatem wyżej w służbowej hierarchii niż pracujący w tym czasie w tej samej komisji aplikant Juliusz Słowacki. Wkrótce potem Jan Stefan Żabiński zaczął pełnić funkcję kasjera i członka dykcji w Mennicy Warszawskiej. Stanowisko kasjera nie kojarzy się dzisiaj z prestiżem, ale wówczas była to bardzo dobra posada, zapewne odpowiednik dyrektora finansowego firmy. Mennica zajmowała w tym czasie nowy, wzniesiony w latach 1817–1819 dwukondygnacyjny budynek, zaprojektowany specjalnie na potrzeby tej instytucji przez Christiana P. Aignera. Ów reprezentacyjny gmach wyróżniał się spośród otaczających go budowli sześciokolumnowym portykiem jońskim, dźwigającym trójkątny fronton. Wśród pomieszczeń w Mennicy Warszawskiej znajdowały się mieszkania służbowe dla dyrektora i ważniejszych pracowników. Jedno z nich przypadło Janowi Żabińskiemu.

Spokojnie płynące życie urzędnicze zostało poważnie zakłócone wraz z początkiem powstania listopadowego. Założony w 1828 roku w Warszawie Bank Polski pospiesznie przejął Mennicę Warszawską i przystąpił do jej reorganizacji. Już kilka dni po wybuchu powstania zlecono przygotowanie pieczęci dla nowych władz i urzędów. Ze względu na nadzwyczajne okoliczności pracownicy mieli być w gotowości do wykonywania swoich obowiązków dzień i noc. Gdy 29 grudnia 1830 roku dykcja banku zdecydowała o likwidacji kasy mennicy, przeniosła ją wraz z kasjerem Janem Żabińskim do centrali banku. Pracownicy mennicy musieli złożyć górnolotną przysięgę następującej treści: „Ja, N [imię i nazwisko – przyp. autorki], przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Św. Jedynemu wierność dla Rządu Narodowego, zachowanie Konstytucji i praw krajowych, posłuszeństwo dla zwierzchności nade mną przełożonej, tudzież dopełnianie gorliwe, pilne, uczciwe i rzetelne powierzonych mi przez Bank Polski i Dykcję Mennicy obowiązków Mennicy Krajowej”<sup>34</sup>.

Czas powstania listopadowego był dla mennicy okresem niezwykle intensywnej pracy. Nie tylko bito monety – bez wizerunku cara, za to z orłem – których tak bardzo potrzebowały nowe władze, chociażby na zakup broni i amunicji, ale także podjęto się szlifowania rur karabinów, a później odlewania dział. W sierpniu 1831 roku dyrektor Bieńkowski raportował: „Strekownicy do domów nie odchodzą, lecz kolejno na słomie spoczywają”<sup>35</sup>. Obsługa kotłów parowych pracowała przez całą dobę na zmianę i spała pokotem w mennicy. Wybijano wówczas – mimo ciągłego braku surowców – do dwudziestu czterech tysięcy złotych polskich na dobę.

Kiedy powstanie listopadowe w Warszawie upadło, Bank Polski kazał mennicy wstrzymać produkcję pieczęci z symbolami Orła i Pogoni. W październiku 1831 roku władze rosyjskie przystąpiły do lustracji pracowników – badały ich zaangażowanie

w działania powstańcze. Kto chciał utrzymać stanowisko, musiał złożyć nową przysięgę:

Ja, N [imię i nazwisko – przyp. autorki], przyrzekam, ślubuję i przysięgam Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Ś. Jedynemu, jako Najjaśniejszemu Panu Mikołajowi I, Cesarzowi Wszech Rosji i Królowi Polskiemu, Panu Naszemu Miłościwemu i Jego Następcy, Jego Cesarzewiczowskiej Mości Aleksandrowi Mikołajewiczowi wiernym będę przez całe życie, żadnej zdrady ani podejścia nie dopuszczę się, które by mogły uszkodzić czy to w użytku, czy w godności, czy w chwale Najjaśniejszą Osobę Cesarza i Króla, jako też Królestwo, iż w wypełnianiu urzędu mnie powierzonego zachowam nieskazitelną uczciwość, obowiązki moje sumiennie wypełniać będę; nic działać, o czym mógłbym wiedzieć, iż być może ze szkoda, uszczerbkiem lub pokrzywdzeniem Najjaśniejszego Pana – tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Syna w Trójcy Jedynego Boga. Amen<sup>6</sup>.

Zapewne nie wszystkim łatwo było składać nową przysięgę na wierność carowi ledwie kilka miesięcy po tym, jak ślubowali posłuszeństwo rządowi polskiemu. W najgorszej sytuacji znalazł się dyrektor mennicy, bo przecież to za jego zgodą wybijano monety i pieczęcie dla Rządu Narodowego i odlewano działa. Wielokrotnie wzywany na przesłuchania, nękany dochodzeniami, nie wytrzymał tej sytuacji i zdecydował się popełnić samobójstwo. Zmarł 16 września 1838 roku.

Jan Żabiński po krótkim okresie pracy w Banku Polskim wrócił do Mennicy Warszawskiej. Zapewne tak jak wszyscy złożył przysięgę wierności carowi. Pracował równie dobrze jak dotychczas, co Mikołaj I wynagrodził w 1842 roku przyznaniem mu Orderu Świętej Anny i nadaniem, w myśl nowego prawa, szlachectwa w Królestwie Polskim wraz z przywilejem używania herbu Łódzia. Rok później Jan Żabiński przeszedł na zasłużoną emeryturę w wysokości tysiąca dwustu rubli rocznie. Jakby tego było mało, w 1850 roku dostał podwyżkę – całe sto pięćdziesiąt rubli. A mennica z woli cara powoli ograniczała swoją działalność. W 1865 roku zakończono produkcję, a dwa lata później ostatecznie tę instytucję zlikwidowano.

Życie Jana Żabińskiego nie ograniczało się oczywiście do pracy zawodowej. Nie wiem dokładnie, kiedy się związał z polskimi masonami, ale pozostawał w ich szeregach aż do zamknięcia łóż. Wolnomularstwo rozwijało się w Polsce stopniowo już od pierwszej połowy XVIII wieku. Od 1781 roku działała Wielka Loża Narodowa Wielkiego Wschodu Polskiego (w latach 1784–1793 jako Wielki Wschód Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego), do której należał nawet sam król Stanisław August Poniatowski i niemal całe środowisko dworskie. Loże wolnomularskie miały początkowo elitarny charakter, ich członkami byli ludzie związani z władzą, arystokracja, później także wybitni działacze polityczni i gospodarcy, szlachta i mieszczenie wyróżniający się walorami umysłowymi i przymiotami charakteru. Wolnomularstwo wywierało istotny wpływ na sprawy państwowe (masoni brali niezwykle aktywny udział na przykład w pracach nad tworzeniem Konstytucji 3 maja), szerzyło uniwersalne idee równości i braterstwa między ludźmi, a także oświeceniowe ideały postępu i mądrości, zachęcało do samodoskonalenia się jednostek i całych grup społecznych. Loże zajmowały się też dobroczynnością i zbierały środki na pomoc potrzebującym,

organizowały szpitale i przytułki, pracowały na rzecz upowszechniania oświaty i naturalnie odzyskania niepodległości. Oczywiście liczyły się również dla życia towarzyskiego. Łoże istniały w okresie Księstwa Warszawskiego, jednak władze zaborcze po rozbiorach zakazały ich działalności, najpóźniej w Królestwie Polskim na mocy carskiego ukazu z 25 września 1821 roku. Aleksander I tak argumentował swoją decyzję: „Niepokoje i nieporządki, które w różnych innych państwach przez istniejące tamże tajne związki wywołane zostały, a niektóre z nich pod nazwą łóż wolnomularskich z początku tylko celami dobroczynnymi się zajmowały, podczas gdy inne politycznymi sprawami się zatrudniały, spowodowały niektóre rządy do zakazania tego rodzaju tajemnych towarzystw”<sup>7</sup>.

Podstawową jednostką organizacyjną wolnomularstwa była łoża świętojańska, zwana tak od patrona średniowiecznych wolnych mularzy Świętego Jana Chrzyciela. Jej członkowie osiągalni kolejne stopnie wtajemniczenia nazwane zgodnie z tradycją cechową stopniami ucznia, czeladnika i mistrza. Spotkania osób należących do łoży odbywały się w tajemnicy i miały charakter obrzędu, a wszelkie znaki, gesty, emblematy, elementy rytualnego stroju wolnomularza niosły głębokie znaczenie symboliczne. Wszyscy bracia w czasie zebrań występowali w charakterystycznych fartuszkach – nawiązujących do bractw budowniczych – i w białych rękawiczkach symbolizujących czystość intencji. Po haftach na fartuszkach można było rozpoznać stopień wolnomularza, po innych oznakach – także pełnił on funkcję. Wszystko, co działo się w łoży od chwili jej otwarcia do zamknięcia, miało być tajemnicą, członkowie wolnomularstwa, żeby zachować skromność i się nie wywyższać, nie powinni się nawet przyznawać do przynależności do masonerii ani ujawniać nazwisk współbraci, chociaż łoże były przecież legalne. Owa tajność obrzędów, symboliki i rytów stanowiła istotny element kształcenia ducha i charakteru, nauki dyskrecji i taktu. Oczywiście w tej chwili wszystkie symbole i procedury ceremonialne dawno są rozszyfrowane, jednak dzisiejsze łoże również działają bez rozgłosu.

Jan Żabiński należał do łoży świętojańskiej pod osobną nazwą Kazimierz Wielki. Została ona założona w maju 1816 roku przez członków łoży Świętyni Izis (istniejącej od 1780 roku, w 1809 roku połączonej ze Świętynią Mądrości). Bardzo przydały się umiejętności i doświadczenie zawodowe Jana Żabińskiego, sprawował bowiem w zakonie funkcję Zastępcy Jałmużnika w stopniu trzecim. Jałmużnik zarządzał funduszami gromadzonymi w celu wspierania ubogich, a w ramach tego jedną czwartą sumy mógł przeznaczyć na jałmużny tajne, bez rozliczania się przed członkami łoży. Poza tym Jałmużnik odwiedzał chorych członków na polecenie zwierzchników.

W łoży Kazimierz Wielki skupiło się około stu członków zwykłych, w tym dwudziestu siedmiu urzędników, czyli osób funkcyjnych, oraz ponad czterdziestu członków honorowych. Mistrzem katedry był radca stanu i dyrektor generalny Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu Królestwa Polskiego Ludwik August Plater, w gronie członków znaleźli się między innymi Jan Kanty Załuski – prezes Sądu Apelacyjnego, Józef Kallasz Szaniawski – prokurator generalny, Stanisław Małachowski – senator i kasztelan, a także radcy stanu, profesorowie, senatorzy, oficerowie, prawnicy, nauczyciele, a nawet dyrektor Teatru Narodowego<sup>8</sup>. Czym ci wszyscy ludzie się zajęli, kiedy car





10<sup>to</sup> g<sup>o</sup> d<sup>ni</sup> J<sup>o</sup>h<sup>o</sup> Math<sup>o</sup> Math<sup>o</sup> J<sup>o</sup>h<sup>o</sup>h<sup>o</sup> d<sup>ni</sup> W<sup>o</sup>l<sup>o</sup>h<sup>o</sup>h<sup>o</sup> b<sup>o</sup>p<sup>o</sup>t<sup>o</sup>u<sup>o</sup>  
ob p<sup>o</sup>l<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup> M<sup>o</sup>r<sup>o</sup>t<sup>o</sup>u<sup>o</sup> J<sup>o</sup>n<sup>o</sup>f<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup> R<sup>o</sup>m<sup>o</sup>i<sup>o</sup>n<sup>o</sup>i<sup>o</sup>b<sup>o</sup>u<sup>o</sup> E<sup>u</sup>g<sup>o</sup>  
P<sup>o</sup>l<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup> J<sup>o</sup>n<sup>o</sup>i<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup> u<sup>o</sup>n<sup>o</sup>t<sup>o</sup>u<sup>o</sup> 15<sup>o</sup> d<sup>ni</sup> 1816 d<sup>ni</sup> d<sup>ni</sup> d<sup>ni</sup>  
M<sup>o</sup>h<sup>o</sup> J<sup>o</sup>h<sup>o</sup>h<sup>o</sup> G<sup>o</sup>l<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup> i<sup>o</sup> M<sup>o</sup>h<sup>o</sup>u<sup>o</sup> d<sup>ni</sup> G<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup>  
M<sup>o</sup>h<sup>o</sup> G<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup> e<sup>o</sup> M<sup>o</sup>h<sup>o</sup>u<sup>o</sup> S<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup> M<sup>o</sup>h<sup>o</sup> G<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup> P<sup>o</sup>l<sup>o</sup>u<sup>o</sup>  
G<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup> L<sup>o</sup>u<sup>o</sup>h<sup>o</sup>u<sup>o</sup>u<sup>o</sup>

Akt chrztu Eugenii Żabińskiej

Odnazka masońska ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, zaginiona prawdopodobnie podczas drugiej wojny światowej

zakazał działalności wolnomularskiej? Jak wyglądały później stosunki między braćmi? Zapewne robili to samo, tylko w większej konspiracji. W każdym razie Jan Żabiński dzięki swojej pracy w loży spotkał wielu interesujących ludzi, zajmujących ważne stanowiska w mieście i w kraju. Czy swoją żonę poznał dzięki tym znajomościom, czy może jednak za pośrednictwem kolegi z pracy? Zarówno w życiu zawodowym, jak i wolnomularskim Jan Żabiński miał styczność z osobami noszącymi nazwisko Ginet(t), niewątpliwie należącymi do rodziny żony. Z aktu stanu cywilnego cyrkułu IV w Warszawie wynika, że ślub z Marią Ginet zawarł 8 lipca 1816 roku. Pan młody miał wówczas trzydzieści pięć lat, panna młoda – dwadzieścia osiem. Rodzicami Marii byli Jan Ginet i Anna z Elgierów. Jednym ze świadków – Ludwik Ginet, pracujący w Mennicy Warszawskiej, wolnomularz. Maria urodziła się w Kurlandii, w litewskiej rodzinie księżęcej. Na marginesie: ojciec Józefa Piłsudskiego wywodził swój ród od dynastii wielkich książąt litewskich, a konkretnie od księcia Ginetu, który jako przedstawiciel jednego z najznacześniejszych litewskich rodów złożył swój podpis pod aktem unii horodelskiej z 1413 roku. Sam Piłsudski w czasie działalności konspiracyjnej używał nieraz właśnie nazwiska Ginet.

Młodzi państwo Żabińscy zamieszkali przy ulicy Senatorskiej (numer hipoteczny 475) i wkrótce zostali szczęśliwymi rodzicami. Jako pierwsza, już w 1816 roku, przyszła na świat Eugenia Pelagia Emilia, a trzy lata później urodził się wyczekiwany chłopiec, Jan Mateusz. Co ciekawe, Eugenia została dwukrotnie ochrzczona. Pierwszy raz w kościele św. Andrzeja, *ob periculum mortis*, kiedy miała rok. Z kolei 26 kwietnia 1838 roku w kancelarii parafii św. Jana stał się Jan Żabiński, lat pięćdziesiąt siedem, ze świadkami Karolem Wróblewskim, lat siedemdziesiąt pięć, i Michałem Krzyżanowskim, lat siedemdziesiąt trzy, obydwoma dziadami kościelnymi (!), i okazał córkę urodzoną 16 listopada 1816 roku z Marii z Ginetów. Powiedziała, że wprawdzie dziewczyna była ochrzczona z wody, ale chce, żeby przyjęła sakrament zgodnie z obyczajem kościelnym. Eugenię zatem ponownie ochrzczono; jej ojcem chrzestnym został Tomasz Piętka, buchalter Mennicy Warszawskiej, a więc kolega Jana z pracy i jednocześnie sąsiad zamieszkały, tak jak Żabińscy, przy Bielańskiej 607.

Nie byłoby w tej skromnej uroczystości nic dziwnego (poza owymi dziadami kościelnymi, ale może Jan Żabiński nie wiedział, że oprócz rodziców chrzestnych musi przyprowadzić świadków), gdyby nie fakt, że następnego dnia rano do tej samej kancelarii parafialnej św. Jana zgłosił się ponownie Jan Żabiński wraz ze świadkami – wzmiankowanym powyżej Tomaszem Piętką oraz Józefem Majnertem, medalierem Mennicy Warszawskiej – i oświadczył, iż poprzedniego dnia wieczorem zmarła jego córka Eugenia Pelagia Emilia, panna lat dwadzieścia jeden licząca, zamieszkała z rodzicami.

Nasuwają się liczne pytania. Czy rzeczywiście ciężko chorą Eugenię dowieziono do kościoła na kilka godzin przed śmiercią? Stan dziewczyny musiał być bardzo poważny, skoro zdecydowano się ją ochrzcić, nie czekając na ewentualną poprawę. A może Jan Żabiński poszedł do kościoła bez Eugenii i w sobie tylko znany sposób przekonał kogoś do sporządzenia fikcyjnego aktu chrztu? Czy może poszedł tam dopiero po śmierci córki i wyprosił akt chrztu z wcześniejszą datą? Czy data urodzenia Eugenii, zgłoszona po dwudziestu jeden latach, jest prawdziwa? Przecież ojciec mógł podać dowolny dzień narodzin córki. Jedno było pewne – dziewczyna umarła. Pochowano ją na Powązkach. Początkowo w katakumbach, dopiero potem w wystawionym dla rodziny solidnym grobowcu, stojącym do dzisiaj pod murem przy ulicy Okopowej, w kwaterze zwanej „Pod Temlerem”. Niestety, ponieważ treść tablic zniszczonych podczas powstania warszawskiego była odtwarzana z pamięci przez kogoś z rodziny, źle podano datę śmierci Eugenii, zamiast 1838 wyryto 1828.

W 1846 roku, 13 listopada, urodziła się kolejna dziewczynka związana z domem Żabińskich – Cecylia. Jej matką nie była jednak Maria Żabińska, tylko Maria Szczerkowska, gospodyni prowadząca dom państwa Żabińskich. Wiele wskazywało na to, że ojcem dziewczynki jest Jan Stefan, jednak formalnie nic nie zostało potwierdzone. W każdym razie Szczerkowska nie straciła posady, a małą opiekował się zapewne ktoś z jej rodziny lub sąsiadów. Niewątpliwie podejrzania dotyczące zdrady męża zatruty ostatnie lata życia Marii Żabińskiej. Zmarła 28 lutego 1851 roku w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Następnego dnia w „Kurierze Warszawskim” ukazał się nekrolog, w którym „[p]ozostali po stracie najlepszej Żony i Matki, w nieutulonym żalu: mąż i syn, zapraszają przyjaciół i znajomych na pogrzeb”<sup>9</sup>, oczywiście na Powązkach. Pochowano Marię w katakumbach, dopiero 30 sierpnia, po nabożeństwie żałobnym, przeniesiono jej zwłoki „z grobu tymczasowego na miejsce doczesnego spoczynku”<sup>10</sup>, do świeżo wzniesionego grobowca Żabińskich.

Gdy 5 kwietnia 1852 roku Maria Szczerkowska urodziła drugą córeczkę, Józefę, tym razem nie było wątpliwości, kto jest ojcem małej, chociaż na jej formalne uznanie musiała jeszcze poczekać. Znajdowała się w zdecydowanie mało komfortowej sytuacji – była panną z dwójką dzieci, bez żadnego zabezpieczenia, związaną z mocno leciwym panem; kiedy urodziła się Józefa, Jan przekroczył już siedemdziesiątkę, w dodatku miał prawowitego spadkobiercę. Kobieta nie ustawała w zabiegach, by namówić Jana Żabińskiego na uznanie dzieci za swoje, marzyła też o ślubie.

Jej starania przyniosły skutek – 8 marca 1857 roku rano zdenerwowana Maria wyszykowała się, ubrała dziewczynki w najlepsze sukienki i wraz z Janem udali się do kościoła św. Andrzeja. O godzinie jedenastej zostało tam zawarte religijne

małżeństwo między Janem Żabińskim, wdowcem, emerytem mającym siedemdziesiąt sześć lat, a Marianną Szczerkowską urodzoną w Kazimierzu w guberni lubelskiej, córką Antoniego i Heleny z Kowalskich, „panną przy rodzinie pozostającą”<sup>11</sup>, liczącą lat czterdzieści. Małżeństwa nie poprzedziły żadne zapowiedzi, ale państwo młodzi dostali na to dyspensę. Mieli też pozwolenie na ślub w okresie zakazanym, czyli podczas Wielkiego Postu. (Na marginesie: w tym czasie w Warszawie mieszkał inny Jan Żabiński, emerytowany żołnierz, którego żona nazywała się Maria Szczerkowska. Nic nie wskazuje na to, aby byli spokrewnieni). Ślub uszczęśliwił Marię, ale nie wyczerpał wszystkich radości tego dnia – od razu po ceremonii małżeństwa odbyła się uroczystość chrztu obu dziewczynek. Cecylia niestety została przy nazwisku matki jako jej panięńskie dziecko, Józefę Jan Żabiński zgłosił jako swoją córkę.

Małżeństwo, do którego Maria tak dążyła, zasadniczo zmieniło jej status społeczny i zostało entuzjastycznie przyjęte przez rodzinę kobiety. Wśród bliskich Jana reakcje były zgoła inne. Mezalians oburzył wszystkich do głębi, co doprowadziło praktycznie do zerwania przez rodzinę stosunków z Janem i jego nową żoną. Jak w tej sytuacji zachował się dorosły już syn Jana? W owym czasie pochłaniały go własne kłopoty, ale z pewnością nie pochwałał decyzji ojca. Jednak Jan Żabiński, człowiek niezależny, o silnym charakterze i dużym doświadczeniu życiowym, nie przejmował się ostracyzmem ze strony rodziny. Był w takim wieku, że ani myślał spędzić ostatnich chwil życia na sporach z rodziną. Jeszcze większym szokiem dla otoczenia okazał się fakt, że trzy lata po ślubie państwo Żabińscy doczekali się synka. Józef urodził się 17 marca 1860 roku, a jego tatuś swoim zwyczajem nie spieszył się z dopełnieniem formalności. Dopiero półtora roku później w księdze parafialnej w kościele św. Andrzeja zanotowano, iż stawił się Jan Żabiński, emeryt mieszkający przy ulicy Leszno 733, i poprosił o chrzest syna. W akcie chrztu zapisano: „Meldunek aktu spóźniony dla słabości ojca”. Rzeczywiście, zaawansowany wiekiem Jan Żabiński podupał na zdrowiu. Choroba się przeciągała i 24 października 1862 roku doprowadziła do śmierci Jana. Miał wówczas osiemdziesiąt dwa lata. Owdowiła Maria Żabińska przede wszystkim zawiadomiła pasierba, który wszystkim się zajął. Eksportacja zwłok z mieszkania na cmentarz Powązkowski nastąpiła 27 października. Zmarły spoczął w tym samym grobie, co jego córka i pierwsza żona. Napis na tablicy zawiera błąd – śmierć Jana Stefana omyłkowo przesunięto na rok 1863.

Wkrótce po pochówku w „Warszawskiej Gazecie Policyjnej” ukazało się zdumiewające ogłoszenie:

Ruchomości po śp. Janie Żabińskim pozostałe, jako to: garderoba, bielizna, meble, sprzęty domowe, gospodarskie itp. przedmiota, sprzedane zostaną przez licytację publiczną w dniu 29 listopada (11 grudnia) 1862 r. o godzinie trzeciej z południa w domu przy ulicy Leszno pod numerem 733 przed podpisanym rejentem odbyć się mającą. – Rejent kancelarii ziemiańskiej guberni Warszawskiej w Warszawie, Stanisław Jasiński<sup>12</sup>.

Można zrozumieć, że Maria chciała się pozbyć ubrań męża, ale dlaczego zdecydowała się sprzedać meble i przedmioty używane w gospodarstwie? Ten sam rejent zajmował się sprawą spadkową. Jan Żabiński udzielił bowiem pożyczki w wysokości

przeszło czternastu tysięcy rubli, a dług został zabezpieczony na dobrach Oszkowice w okręgu brzezińskim i Biała w okręgu zgierskim. Czy udało się odzyskać pieniądze od właścicieli wzmiankowanych majątków? Na wniosek wdowy, reprezentującej także dzieci Jana – Józefę i Józefa – oraz syna spadkodawcy, czyli Jana Mateusza Żabińskiego, należące do Konstantego Pilchowskiego dobra Biała na drodze sądowej zostały przejęte przez komornika. Majątek postanowiono sprzedać, a licytacja miała się rozpocząć od kwoty dwunastu tysięcy rubli. Dokładny opis zabudowań wchodzących w skład dóbr znalazł się w „Dzienniku Warszawskim”<sup>13</sup>. Do majątku należały wieś czynszowa i folwark Biała, wieś Warszycze, wieś czynszowa Głowa, kolonie Cyprjanów i Stefanów.

Kiedy Maria Żabińska została wdową, miała zaledwie czterdzieści pięć lat. Oraz na utrzymaniu trójkę dzieci: szesnastoletnią Cecylię, dziesięcioletnią Józefę i dwuletniego Józefa. Czy Jan Żabiński zabezpieczył materialny byt rodziny w wystarczającym stopniu? Na to pytanie nie mam odpowiedzi, ale wiele wskazuje na to, że żyło im się bardzo ciężko. Sensownym posunięciem w tej sytuacji okazałoby się zapewne znalezienie dobrych partii dla dziewcząt, ale i tak były jeszcze zbyt młode na małżeństwo. Z czasem jednak wyszły za mąż, o dziwo całkiem korzystnie, co nie było wcale takie oczywiste, zważywszy na ich nieślubne pochodzenie.

W 1865 roku Cecylia Szczerkowska *vel* Żabińska (ostatecznie używała obu nazwisk) wyszła za mąż za Jana Stępczyńskiego, urzędnika, w tym samym roku została mamą Jana Zdzisława Anastazego, a dwa lata później – Teodozji Marii. Nie dane jej było jednak długo cieszyć się macierzyństwem. Jak podano w nekrologu, Cecylia zmarła 11 października 1867 roku po „długiej i ciężkiej słabości”<sup>14</sup>. Miała zaledwie dwadzieścia jeden lat. Jej dzieci także odeszły dużo za wcześnie. Córeczka przeżyła tylko dwa lata, synek – siedem. Po śmierci Jana Zdzisława Anastazego został spadek wysokości trzech tysięcy rubli zabezpieczonych na hipotecę nieruchomości numer 2685 i 2686 w Warszawie. Maria Żabińska rozpoczęła starania o odziedziczenie połowy tej sumy, uważając, że jako babce ze strony matki jej się to należy. Ojciec chłopca z kolei chciał być jedynym spadkobiercą po synku. W „Gazecie Sądowej Warszawskiej”<sup>15</sup> bardzo szczegółowo przedstawiono przebieg procesu i argumenty użyte w trakcie sporu. Czy matka naturalna, a więc niebędąca w legalnym związku z mężczyzną w momencie, kiedy dziecko się urodziło, ma prawo do spadku po córce i jej zstępnych? Argumentowano, że wprawdzie zezwoliła Cecylii na ślub i na akcie podpisała się jako matka, ale powinna była uznać dziewczynę za córkę osobnym aktem prawnym. Jak widać, metryka nie wystarczała. Maria Żabińska podczas procesu wysłuchiwała wielu przykrych słów. Wszyscy czytelnicy gazety mogli się zapoznać z takimi oskarżeniami:

Żabińska zresztą nigdy nie zajmowała się swą jakoby córką, nie tożyła na jej wykształcenie ani też nigdy jej żadnego majątku nie dała, ani [nie] zapisała; stowem, nie udzielała jej żadnych starań matki.

Córka ta nawet do lat 18, to jest do pójścia za mąż za Jana Stępczyńskiego, nie była znaną pod nazwiskiem swej matki<sup>16</sup>.

Temu ostatniemu zaprzecza przede wszystkim metryka Cecylii. obrońca Żabińskiej, nazwiskiem Marczewski, dowodził, że była dobrą matką: „Żabińska nadto zajmowała się doglądaniem i staraniem w czasie choroby dziecka swego śp. Cecylii, zamężnej Stępczyńskiej, na dowód czego przedstawiam trzy świadectwa osób znanych powszechnie: doktora Helbicha, doktora Konitza i właściciela domu Winnickiego”<sup>17</sup>. W sumie sprawą zajmowało się kilka instancji, a wynik ich obrad kilka razy się zmieniał. Apelowana Żabińska, apelował Stępczyński, ostatecznie Sąd Apelacyjny w listopadzie 1873 roku przywrócił wyrok wydany przez Trybunał Cywilny Warszawski, przyznający spadek jedynie ojcu chłopca. Żabińska przegrała spór.

Druga córka Marii, Józefa, założyła rodzinę jako siedemnastolatka. Jej mężem został Ksawery Kulwiec, urzędnik Banku Polskiego, pochodzący z rodziny książąt litewskich. Na świat zaczęły przychodzić dzieci: chłopcy Władysław i Henryk oraz córeczka, której Józefa dała imię po zmarłej siostrzenicy – Teodozja. Niestety Józefa tak jak siostra cierpiała na suchoty i została przez chorobę pokonana – zmarła w 1877 roku, ukończywszy tylko dwadzieścia pięć lat. Dzieci nie podzieliły tragicznego losu matki i dożyły dorosłości.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak mocno Maria Żabińska cierpiała z powodu śmierci obu córek i jak bardzo musiała się lękać, czy choroba nie zaatakuje Józefa. Przecież od urodzenia mieszkał z siostrami pod jednym dachem, najprawdopodobniej we wspólnym pokoju, z pewnością dziewczęta pomagały matce zajmować się chłopcem, póki nie założyły własnych rodzin. Na szczęście Józef okazał się odporny na prątki. A trzeba podkreślić, że gruźlica w XIX wieku była najbardziej rozpowszechnioną chorobą zakaźną, dziesiątkującą mieszkańców Europy, zwłaszcza ludzi młodych. Nie bez powodu nazywano ją „białą dżumą”. Pod koniec stulecia co siódmy zgon na naszym kontynencie był spowodowany gruźlicą, a wśród młodych dorosłych – co trzeci. Skutecznego leczenia nie było. Zalecano terapie klimatyczne, ale na to pozwolić sobie mogli jedynie zamożniejsi.

# JAN MATEUSZ – PIERWORODNY SYN I PECHOWY URZĘDNIK

## ROZDZIAŁ 2

Co się w tym czasie działo w życiu Jana Mateusza, pierwszego syna Jana Stefana Żabińskiego? Podobnie jak ojciec na początku swej drogi zawodowej, podjął pracę w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu. Nie zrobił większej kariery, ale przynajmniej miał stabilną pracę przez wiele lat. Pełnił kolejno funkcje archiwisty, rachmistrza, referenta. „Gazeta Polska” w 1862 roku doniosła, że Jan Żabiński został mianowany sekretarzem w wydziale kontroli<sup>18</sup>. Niestety nie dotrwał tam do urzędniczej emerytury, gdyż na mocy carskiego ukazu w 1867 roku Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu została zlikwidowana. Jej uprawnienia przejął Zarząd Finansowy Królestwa Polskiego, działający do 1869 roku. Jan Mateusz stracił więc posadę, ale hojny car za trzydzieści jeden lat służby przyznał mu trzysta siedemdziesiąt pięć rubli, a dodatkowo sto pięćdziesiąt za, jak to się wówczas mówiło, „spadnięcie z etatu”.

Wraz ze zniesieniem Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu zamknięto jej bibliotekę, a księgozbiór został rozparcelowany:

[...] bibliotekę Wydziału Kontroli i Podatków Stałych pozostawiono pod opieką Jana Żabińskiego, urzędnika KRPIŚ. Bez jego wiedzy dwie szafy z książkami zostały zabrane przez egzekutora Michała Buczyńskiego i przekazane Warszawskiej Izbie Skarbowej; pozostałe książki wyrzucono z szaf i złożono w sali posiedzeń Komisji. Ostatecznie w 1871 r. senator Markus, zarządzający sprawami finansowymi w Królestwie Polskim, reskryptem z 7/19 IV 1871 r., polecił rozparcelować cały pozostały księgozbiór pomiędzy Warszawską Izbę Skarbową, Szkołę Główną w Warszawie oraz Ministerstwo Finansów w Rosji<sup>19</sup>.

Jan Mateusz Żabiński, mając już blisko pięćdziesiąt lat, musiał szukać nowej pracy. Znalazł ją w Collegium Varsoviense.

W życiu osobistym nie układało mu się dobrze. Zakochał się w Antoninie z Balcerów Wiłuckiej, swojej równolatce, tancerce-soliste występującej na scenie operowej. Tańczyła w operze *Niema z Portici*, w baletach *Rybołowcy*, *Mimili, czyli Styryjczykowie*, *Stach i Zośka*. Grała również partie Jeniusza (*Jeniusz różowy*), Zerliny (*Rozbójnik morski*), Míny (*Herta*) oraz rolę tytułową w *Gitanie*. W „Pamiętniku Sceny Warszawskiej” pisano, „że taniec szlachetny, serio odróżnia ją od współtowarzyszek wdziękiem i lekkością zachwycających”<sup>20</sup>. Nie wiem, czy Wiłucka opuściła męża i kilkuletniego

synka, zanim związała się z Żabińskim, czy też rozwiodła się specjalnie dla niego. W każdym razie zamieszkali razem w jednym z mieszkań w luksusowym pałacu Iwana Skwarcowa, czyli w nieistniejącym dzisiaj Pałacu Saskim. Antonina urodziła Janowi Mateuszowi dwójkę dzieci – w 1853 roku Norbertynę Emilię (używała tylko drugiego imienia), a trzy lata później Benona Jana. Pół roku po porodzie, w grudniu 1856 roku, wystąpiła na scenie, tańcząc partię Teresy w balecie *Faust*. Nie wiedziała, że robi to po raz ostatni – 12 września 1857 roku zmarła, mając trzydzieści osiem lat. Pięć dni później w „Kurierze Warszawskim” pojawiła się wzmianka o jej pogrzebie:

W dniu 14 bm. złożono na doczesny spoczynek zwłoki śp. Antoniny z Balcerów Wituckiej, utalentowanej Artystki naszego Baletu. Śp. Antonina od dziecka poświęciła się zawodowi choreograficznemu; przechodziła ona w miarę swoich zdolności stopnie na deskach teatralnych, początkowo pod kierunkiem bytego Dyrektora Baletu P. Maurycyego Pion, a ostatecznie P. Romana Turczynowicza. Jako tancerka już wykształcona, wystąpiła po raz pierwszy w ulubionym ówczesnie Balacie p. n. *Herta*, i odtąd powierzano jej role, z których z całą sumiennością artystyczną zawsze się wywiązywała. Zbyt wczesny jej skon wywołał szczery żal Kolegów, Koleżanek i wszystkich, którzy bliżej znali przymioty zgasłej Antoniny<sup>21</sup>.

**Zrozpaczony Jan pochował ją w katakumbach na Powązkach. Na marmurowej tablicy inskrypcyjnej zamieścił epitafium, które dzisiaj jest już prawie nieczytelne:**

Antoninie z Balcerów Wituckiej  
urodzonej dnia 11 lutego 1819 r.  
zmarłej dnia 12 września 1857 r.  
w dowód nigdy niewygastej przyjaźni  
ten pomnik smutku położono.



Antonina z Balcerów Witucka upamiętniona przez Bonawenturę Dąbrowskiego, 1840 r.

Z tym poetyckim napisem kojarzy się zupełnie prozaiczna historia. Otóż Jan kilka lat po pogrzebie chciał uzyskać zwrot kosztów za miejsce w katakumbach. Zwrócił się do zarządców cmentarza, a po odmowie – aż do Wydziału Prośb Najwyższej Rady Stanu Królestwa Polskiego o zwrot zakupionych niegdyś dwóch katakumb na Powązkach lub ich kosztu. Pisał w 1864 roku:

W roku 1838 pochowałem siostrę, a w roku 1851 matkę w katakumbach na Cmentarzu Powązkowskim, zakupiwszy je na wieczną i bezwarunkową własność. W r[oku] b[ieżącym] zakupiwszy 24 łokcie kwadratowe ziemi, również na tymże cmentarzu wystawiłem grób dla mej familii, a tem samem zwłoki siostry i matki przeniostem do tego grobu, a katakumby opróżnione zostały. Natychmiast Dozór Cmentarny katakumby przeze mnie opróżnione zajął i inne zwłoki pomieszczone tam zostały [...]<sup>22</sup>.

Niestety, prośba została opatrzona negatywną decyzją obu instancji. Urzędnicy twierdzili, że wszystko jest zgodne z prawem.

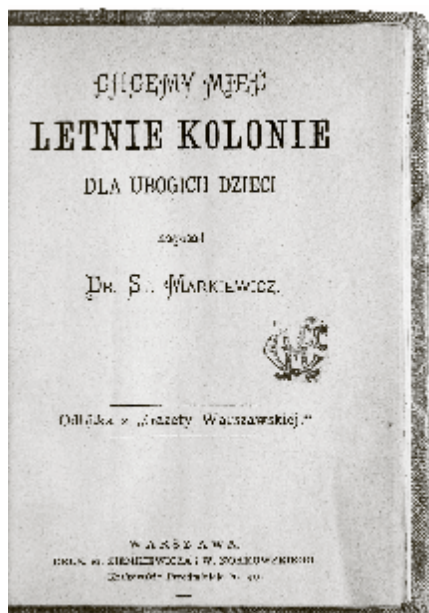
Roszczenie Jana Żabińskiego wydaje się co najmniej naciągane. W roku śmierci siostry miał dziewiętnaście lat i trudno sobie wyobrazić, żeby to właśnie on ponosił koszty jej pogrzebu zamiast rodziców, bądź co bądź nieubogich. Kiedy zmarła matka Jana, był już dorosły, ale wciąż wydawałoby się dziwne, gdyby jego owdowiały ojciec nie wyasygnował pieniędzy na pochówek. Żabiński mija się z prawdą także w sprawie grobu rodzinnego – został postawiony dużo wcześniej, niż podaje we wzmiankowanym piśmie, na pewno między lutym a sierpniem 1851 roku<sup>23</sup>.

Po śmierci Antoniny Jan został sam z dwójką malutkich dzieci, których w dodatku dotychczas nie uznał formalnie za swoje, a ślubu z ich matką nie zawarł. Dzieci zostały ochrzczone w 1859 roku, a ojcem chrzestnym obojga został przyjaciel Jana Mateusza Aleksander Hauke (wówczas pułkownik wojsk cesarsko-rosyjskich, kuzyn i szwagier księżnej Julii von Battenberg, protoplastki rodu Battenberg-Mountbatten, jednak chrześniacy nie mieli raczej korzyści z jego powiązań rodzinnych). Jak Jan Mateusz radził sobie z opieką nad dziećmi? Jego matka nie żyła, ojciec miał nową rodzinę i swoje małe dzieci. Rodziców Antoniny również już nie było na tym świecie. Czy zatrudnił gosposię i opiekunkę do dzieci, czy może pomagał mu ktoś z dalszej rodziny? Minęło wiele lat, zanim Żabiński zdecydował się na ułożenie sobie życia i małżeństwo. Wybranką została Waleria Góra z Ostrowa w Wielkopolsce, trzydziestosiedmioletnia panna, córka Kazimierza i Konstancji z Nerskich. Pan młody był wprawdzie kawalerem, ale zdecydowanie starszym, liczył sobie już pięćdziesiąt jeden lat. Zanim jednak doszło do ślubu, 30 lipca 1870 roku na świat przyszła córka planowanego stałda – Konstancja. Uroczystość zaślubin odbyła się w Ostrowie 14 lutego 1871 roku. Małżonkowie z dziećmi zamieszkali w Leonowie, osadzie wchodzącej w skład folwarku Duninowo Nowe. Rok później, 5 lutego 1872 roku, urodziła się jeszcze jedna córeczka – Wiktoria. Waleria, niestety, nie cieszyła się długo życiem rodzinnym i macierzyństwem, umarła bowiem zaledwie cztery lata po ślubie, 11 sierpnia 1875 roku. I znowu Jan Mateusz Żabiński został sam, tym razem z trójką dzieci na utrzymaniu. Benon skończył już lat dziewiętnaście, więc mógł się wkrótce usamodzielnic, ale Konstancja i Wiktoria były zupełnie malutkie. Szczęśliwie Emilia rok wcześniej wyszła za mąż za Stanisława

Markiewicza, wybitnego higienistę, twórcę i przez trzydzieści lat kierownika kolonii letnich dla ubogich dzieci. Poznali się, kiedy pracował w Soczewce koło Płocka jako lekarz w wielkiej papierni Epsteinów i cukrowni Leonów. W uznaniu zasług doktora Markiewicza jego imieniem nazwano później wiadukt na ulicy Karowej w Warszawie. Benon ożenił się w 1881 roku z Konstancją Ludwiką Piotrowską, z którą miał czworo dzieci. Pracował na różnych stanowiskach na Warszawsko-Wiedeńskiej Kolei Żelaznej. Żył tylko trzydzieści sześć lat.

Inaczej potoczyły się losy młodszych sióstr Żabińskich. Zanim umarł ich ojciec albo wkrótce potem, zostały oddane pod opiekę spowinowaczonej z ich matką Marii z Rekowskich Kosińskiej z Koszut. Dorosły w dobrych warunkach w domu Kosińskich. Dlaczego nie zajęła się nimi Emilia – nie wiadomo, ale nie straciła kontaktu z siostrzyczkami. Jako pierwsza (w 1900 roku) wyszła za mąż Konstancja zwana Kocią – jej wybrankiem został Kazimierz Niegolewski, późniejszy starosta Lublińca. Ślub był wspaniały, a państwo Kosińscy ze staropolską gościnnością podejmowali orszak weselny swojej wychowanki w hotelu Monopol we Wrocławiu. Małżonkowie nie byli jednak szczęśliwi i w 1908 roku Kazimierz rozstał się z Konstancją. Małżeństwo zostało rozwiązane wyrokiem Królewskiego Sądu Ziemskiego w Oleśnicy z dnia 12 maja 1910 roku. Siedem lat później Konstancja Niegolewska powróciła do nazwiska panieńskiego – Żabińska. Kazimierz zaś w roku 1912 ożenił się z... jej siostrą Wiktorią. Ten związek okazał się bardziej udany i parę rozłączył dopiero kres życia. Ani Konstancja, ani Wiktoria nie miały dzieci. Jak układały się stosunki między siostrami – nie wiem. Na pewno Wiktoria łączyła bliska więź z przyrodnią siostrą Emilią pomimo dzielącej je różnicy wieku. W grudniu 1893 roku obydwie charytatywnie zajmowały się sprzedażą rabatową w sklepie z piernikami przy ulicy Trębackiej, noszącym

wdzięczną nazwę Złoty Ul. Dochód miał być przeznaczony na organizację kolonii letnich. Emilii, czyli Stanisławowej Markiewiczowej, towarzyszyła córka Boleśława. W tym samym czasie podobna zbiórka odbywała się w kilku innych sklepach



Publikacja Stanisława Markiewicza na temat kolonii letnich dla dzieci, 1881 r.

i magazynach warszawskich<sup>24</sup>. Wiktoria była bardzo zaangażowana w działalność społeczną. Organizowała imprezy i zbiórki na rzecz potrzebujących, bywała na balach charytatywnych. „Kurier Poranny” zauważył Wiktorię – ubraną w różową toaletę z kreponu ozdobioną wstążkami – pośród „126 dam tańczących i 30 nietańczących” na ostatekowym balu „lutnistów”<sup>25</sup>. Działała w gronie patronek bezpłatnej lecznicy dla niezamożnych chorych prowadzonej w budynku przy Kanonii 8 i pozostającej pod patronatem Towarzystwa Opieki nad Nieuleczalnie Chorymi w Warszawie. Pomagała zdobywać dla niej środki: 8 kwietnia 1900 roku miał miejsce koncert, do którego zorganizowania się przyczyniła, kiedy indziej było to przedstawienie w gmachu filharmonii. Dochód zawsze przeznaczano na pokrycie wydatków ambulatorium. Z okazji Wielkanocy Wiktoria rozdawała święcone dla stu rodzin związanych z przychodnią. Oto, co znajdowało się w paczkach w 1900 roku: 1/8 funta herbaty, 1 funt cukru, 2 funty mięsa, 1 funt kielbasy, 1 baba, 1 bochen chleba i 2 jaja<sup>26</sup>. Podobne paczki rozprowadzano z okazji Bożego Narodzenia. Poza jedzeniem ofiarowywano również odzież, a dzieci w miarę możliwości dostawały po zabawce. Warto zwrócić uwagę na to, jakże inne świąteczne podarunki dla potrzebujących przygotowuje się współcześnie.

Wiktoria bardzo się zasłużyła dla regionu, w którym mieszkała po ślubie. W pałacu w Czarnym Lesie pod Woźnikami zorganizowała prywatną polską szkołę dla dzieci z najbliższej okolicy. Kształciło się w niej czterdzieścioro uczniów. Była to jedyna polska szkoła na Śląsku. W okresie powstań śląskich osobiście przemycała broń i amunicję dla bojowników, a także urządziła w pałacu szpital dla rannych powstańców i nimi się opiekowała. Swoją bibliotekę, cenne dzieła sztuki i pamiątki zapisała Towarzystwu Przyjaciół Nauk na Śląsku. Starościna Wiktoria Niegolewska, o której okoliczna ludność mówiła: „nasza matka”, zmarła 24 października 1927 roku. Jej pogrzeb w Lublińcu miał charakter żałobnej manifestacji całego polskiego Śląska. Wiktorię i Kazimierza Niegolewskich uhonorowano, czyniąc ich w 1990 roku patronami ulicy w Lublińcu.

Jan Mateusz Żabiński po długiej chorobie zmarł 31 stycznia 1879 roku we wsi Wólka Brwileńska w powiecie gostynińskim. Zwłoki złożone zostały w rodzinnym grobie na Powązkach. W tym samym roku i następnym odprawiono msze święte za duszę Jana Mateusza, ale kto je zamawiał, nie wiadomo – ogłoszenia nie były podpisane.

Jak widać, ta gałąź rodziny Żabińskich związała się nie tylko z Warszawą. Dokumenty wskazują, że wiele łączyło ją z okolicami Gostynina na Mazowszu. Mieszkali w Leonowie, w Soczewce urodził się Benon Jan, a potem Wiktoria i Konstancja w Duninowie. Tam też zmarła matka dziewczynek. Z kolei Emilia poznała przyszłego męża w Soczewce, a Jan Mateusz zakończył życie w pobliskiej Wólce Brwileńskiej. Prawdopodobnie Żabińscy mieli tam jakąś siedzibę. W akcie zawarcia małżeństwa Konstancji z Niegolewskim podano, iż zmarły ojciec panny młodej był rolnikiem, ale ten wpis o niczym nie świadczy, bo przecież wiadomo, że przez większość życia pracował jako urzędnik. W każdym razie na miejsce pochówku Walerii i Jana wybrano jednak Warszawę, a żadne z jego dzieci nie zostało na ziemi gostynińskiej.

# JÓZEF – WYBITNY SZACHISTA I SOLIDNY REJENT

Józef Żabiński, drugi syn Jana Stefana, przyszedł na świat w Królestwie Polskim, ale wkrótce okazało się, że żyje w Kraju Przywiślańskim, w którym panują znacznie bardziej restrykcyjne prawa. Po upadku powstania styczniowego (które w samej Warszawie przebiegało stosunkowo spokojnie) władze rosyjskie przystąpiły do ograniczenia i tak nieprzesadnie dużej autonomii Królestwa. Przeorganizowano administrację, między innymi dziesięć guberni włączono bezpośrednio do Cesarstwa Rosyjskiego. Konfiskowano majątki. W 1867 roku zakazano używania polszczyzny w administracji i szkolnictwie. W placówkach edukacyjnych wszystkich szczebli oraz w urzędach obowiązującym językiem stał się rosyjski. Za używanie polskiego w szkolnych klasach karano. Szkoły bowiem stanowiły niezwykle ważne miejsce, gdzie realizowano plan indoktrynacji Polaków, narzucania im języka i kultury rosyjskiej, co miało doprowadzić do unifikacji zaboru z Imperium Rosyjskim w każdej dziedzinie. Roman Dmowski w 1895 roku tak pisał o stosunkach panujących w oświacie w zaborze rosyjskim:

Władza szkolna, nie mając możliwości oddziaływania na młodzież za pomocą wpływu moralnego, jaki ma szkoła szanowana przez uczniów, stara się działać na nią za pomocą systemu kar. [...]

System kar jednak nie miałby wielkiego wpływu, gdyby przekroczenia przepisów łatwo unikaty oka władzy. Szkoła więc stworzyła równoległe system dozoru, o jakim nikomu się nie śniło. Gdy uczeń siedzi w klasie, obserwuje go z katedry nauczyciel, badający nawet wyraz jego twarzy, a obok tego często inspektor lub dyrektor patrzy nań z korytarza przez szybę lub dziurkę od klucza. Wyszedłszy podczas pauzy na korytarz lub na podwórze, musi się nieustannie oglądać, czy nie podkrada się na palcach za jego plecami pomocnik gospodarza klasy lub też który z nauczycieli i zwierzchników szkolnych. Nawet w miejscu ustępowym musi mieć się na baczności, bo tam zamyka się często jaki „pedagog”, żeby słuchać, czy młodzież nie mówi po polsku. [...]

Jeżeli uczeń, idąc ulicą, niesie jakie książki w rękę, jest narażony na to, że jaka urzędowa osoba zaczepi go, i w razie trafienia na książki polskie, pociągnie do odpowiedzialności przed władzą szkolną.

Wróciwszy do domu, nie jest wolny od prześladowania. [...] czasami wpadnie jaki nauczyciel, wejdzie w palcie i kaloszach do pokoju, a przekonawszy się, że chłopiec jest zajęty lekcjami, rozejrzy się tylko powierzchownie wokół, weźmie do ręki jedną, drugą książkę leżącą na stole, przekona się, czy nie polska, i pójdzie sobie dalej<sup>27</sup>.

Józef był chłopcem nadzwyczajnie zdolnym i bardzo chciał zdobyć wykształcenie. Rozumiał, że nie mając żadnego majątku, tylko dzięki nauce i pracowitości może zapewnić sobie i matce w latach późniejszych jako taki poziom życia. I trzeba oddać sprawiedliwość matce Józefa, że wsparła te edukacyjne aspiracje syna i nie wystąpiła go na przykład do jakiegoś terminu. Wielkiego wyboru gimnazjów nie było, gdyż w Warszawie działało w tym czasie tylko kilka tego typu placówek. Młody Żabiński rozpoczął zatem naukę w II Rządowym Gimnazjum Filologicznym. Była to siedmioklasowa szkoła męska z rosyjskim językiem wykładowym, mieszcząca się przy Nowolipkach 11. Prowadzono w niej lekcje matematyki, historii, geografii oraz języków: polskiego (po rosyjsku), rosyjskiego, francuskiego, niemieckiego, łaciny i greki. Józef uczył się niezłe, nie był jednak prymusem.

Z powodu biedy nie mógł pozwolić sobie na to, by – wzorem wielu rówieśników – kontynuować naukę na którejś z renomowanych uczelni za granicą. Tak więc po ukończeniu rosyjskiego gimnazjum, w 1878 roku wstąpił na Wydział Fizyczno-Matematyczny Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, a po trzech latach przeniósł się na Wydział Prawny. Rosyjskojęzyczna uczelnia również służyła zaborcy

Józef Żabiński około 1883 r.



Kartka z notatnika Józefa Żabińskiego z czasów młodości



jako narzędzie rusyfikacji społeczeństwa polskiego. Większość profesorów przyjechała z Rosji i generalnie nie byli to najwybitniejsi naukowcy ani wykładowcy, chociaż pojedyncze osoby reprezentowały całkiem wysoki poziom naukowy. Polska młodzież wolała studiować gdzie indziej, ale i tak aż do końca XIX wieku większość uczących się stanowili studenci miejscowi. Natomiast chętnie studiowali tu Rosjanie, przybywający z odległych rejonów Imperium Rosyjskiego. Program Wydziału Fizyczno-Matematycznego w Warszawie był taki sam jak w Rosji, poza tym oczywiście porozumiewano się po rosyjsku. Także program Wydziału Prawnego pokrywał się z tym, czego uczono na innych uczelniach Cesarstwa, chociaż dodano zagadnienia związane z prawem obowiązującym w Polsce i z religią katolicką. Wydział Prawny uchodził wśród polskich pamiętnikarzy za szczególnie zrusyfikowany i nieprzyjazny wobec Polaków. Ograniczono na nim nauczanie prawa rzymskiego, nie zapoznawano z zachodnioeuropejskimi rozwiązaniami jurysdycyjnymi. Dopuszczono wszakże, by prawo cywilne wykładane było po polsku, a ponieważ na wydziale pracowali Polacy, przede wszystkim należący do kadry zlikwidowanej Szkoły Głównej, którzy nie znali zbyt biegle prawa rosyjskiego, starali się nieoficjalnie przekazywać wiedzę z zakresu prawa obowiązującego w innych krajach Europy.

W 1887 roku w dwudziestym siódmym numerze „Gazety Sądowej Warszawskiej” ukazała się notatka, iż spośród osiemdziesięciu studentów czwartego kursu na Wydziale Prawnym Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego dwudziestu sześciu otrzymało stopień kandydata z obowiązkiem przedstawienia i obrony dysertacji. W gronie wymienionych znalazł się Józef Żabiński. Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę zawodową na stanowisku pomocnika sekretarza izby sądowej. We wrześniu 1897 roku na mocy decyzji prezesa izby sądowej Józef Żabiński, wówczas już podsekretarz departamentu cywilnego tejże izby, został mianowany rejentem przy kancelariach hipotecznych sędziów pokoju miasta Warszawy. W tym samym roku 15 października w „Kurierze Warszawskim” ukazało się ogłoszenie, że notariusz Józef Żabiński otworzył kancelarię na parterze gmachu sądu okręgowego. Prowadził tę kancelarię do końca życia, z krótką przerwą podczas pierwszej wojny światowej. Budynek hipoteki przy Kapucyńskiej zajęty wówczas władze wojskowe, ale już we wrześniu 1915 roku się wycofały i rejenci mogli wrócić tam do pracy. Józef Żabiński jako jeden z pierwszych wznowił działalność swojej kancelarii. Kiedy odrodziła się Polska, władze potwierdziły jego prawo do wykonywania zawodu. W drugim numerze „Dziennika Urzędowego Królewsko-Polskiego Ministerstwa Sprawiedliwości” z 1918 roku, który ukazał się 26 listopada, ogłoszono, iż „na zasadzie art. 21 przepisów tymczasowych o urządzeniu sądownictwa w Królestwie Polskim Józef Żabiński został zamianowany notariuszem przy wydziałach hipotecznych sądu okręgowego w Warszawie”.

Czym się zajmował? Jak to rejent: sporządzał akty notarialne, poświadczenia, testamenty, wypisy, odpisy, wyciągi dokumentów, spisywał protokoły (na przykład walnych zgromadzeń organizacji społecznych i spółek), przyjmował na przechowanie dokumenty, pieniądze, papiery wartościowe i temu podobne. Na przykład w 1899 roku spisał akt zawiązania Towarzystwa Akcyjnego Kolei Wilanowskiej,



Józef Żabiński (pierwszy z prawej), Antoni Stupecki, kuzyn Heleny Strzeszewskiej, oraz jej brat Kazimierz Strzeszewski (z laską), lata 80. zeszłego stulecia

a w 1920 roku – spółki akcyjnej Fabryki Budowy Lokomotyw w Polsce. Często pełnił funkcję sekretarza podczas zebrań akcjonariuszy rozmaitych firm, chociażby Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, a 22 listopada 1923 roku jako reprezentant Zrzeszenia Notariuszów i Pisarzy Hipotecznych w b. Królestwie Polskiem brał

udział w posiedzeniu Stałej Delegacji Zrzeszeń i Instytucji Prawniczych, na którym zajmowano się projektem nowej ustawy stempłowej dla całego państwa<sup>28</sup>. Skorowidze, repertoria i akta z kancelarii rejenta Żabińskiego z lat 1897–1928 przechowuje Archiwum Państwowe w Warszawie. Także w Warszawie, w Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego, znajduje się prywatny notatnik Józefa z czasów studenckich. Autor ozdabiał wpisy dowcipnymi rysunkami, które świadczą zarówno o dużym talencie rysownika, jak i o jego poczuciu humoru.

Żabiński był staranny, solidny, uczciwy, nic więc dziwnego, że jego kancelaria nie narzekała na brak klientów. Raz jednak, w 1922 roku, zdarzyło się, że Józef Żabiński oraz rejenci Witold Biernacki i Marek Borkowski zostali zawieszani w czynnościach służbowych. Zarzucono im, że pobierali od treści kaucyjnych opłatę stałą, a nie stosunkową. Prawnicy bronili się, powołując się na zasady prawa i decyzje sądu apelacyjnego w Lublinie, jednak zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej z artykułu 636 kodeksu karnego i wpłacili na rzecz skarbu państwa niepobrane przez nich we właściwym czasie pięć milionów marek. Po roku zmieniono kwalifikację czynu na lżejsze przewinienie, a potem w wyniku amnestii umorzono. Rejent Biernacki przyjął to z zadowoleniem, ale dwaj pozostali notariusze postanowili nie korzystać z ułaskawienia, tylko podjęli walkę, by odzyskać dobre imię. Uznali, że racja była po ich stronie, i poprosili sąd o przeprowadzenie postępowania. Sprawa opisywana była w prasie, nawet w gazetach niemieckich, toteż nabrała znacznego rozgłosu. Sąd przyjął punkt widzenia obu panów i zostali uniewinnieni. Józefa Żabińskiego bronił kolega, adwokat Henryk Konic. Nie przyjął za to wynagrodzenia. Następnego dnia po

wygranym przez niego procesie w „Kurierze Warszawskim” ukazało się ogłoszenie takiej treści:

Z powodu bezinteresownej obrony kolegi Henryka Konica sprawy uczciwej w niezależnym polskim sądzie składa Józef Żabiński: 1) na cegietkę akademicką 200 000 marek (napis na cegietce: „Henrykowi Konicowi wdzięczny klient d. 20 IX 1923 r.”); 2) na auxilium academicum – 10 000 marek; 3) na Towarzystwo Pomocy Kresom – 100 000 marek; 4) na Towarzystwo Pomocy Japonii – 100 000 marek; razem 500 000 marek<sup>29</sup>.

Trudno nie zaaprobować takiego podziękowania. Warto przy okazji zauważyć, że ogłoszenia w „Kurierze Warszawskim” dotyczące wpłat i ofiar, jakie ludzie przekazywali na rozmaite cele, są kopalnią wiedzy o darczyńcach i ówczesnym życiu społecznym, o sprawach, które w danym okresie uważano za ważne. A takich wpłat było sporo, ponieważ wielu ludzi składało ofiary nie tylko z chęci dobroczynności czy uczuć patriotycznych, ale także dla uczczenia pamięci bliskich, którzy zmarli. Wpłacano datki zarówno zamiast kwiatów na pogrzeb, jak i w rocznice śmierci i urodzin. Często wybierano cele bliskie osobie zmarłej. Piękny zwyczaj, szkoda, że zapomniany. Choć Józef Żabiński bynajmniej nie był osobą, która lubiła szastać pieniędzmi, wcale nie tak rzadko ofiarowywał mniejsze lub większe kwoty na rozmaite cele – czasem sam, czasami z żoną, niekiedy z kolegami i sąsiadami. Oto kilka przykładów:

1897 – wpłata w pierwszy dzień przyjmowania ofiar na budowę pomnika Mickiewicza;  
1898 – ofiara na czytelnię bezpłatne przy Towarzystwie Dobroczynności;  
1913 – datek na szkołę i salę zajęć Bolesława Prusa, a także na budowę domu kąpielowego jego imienia;  
1919 – złożona wspólnie z żoną ofiara „na ratunek zagrożonej ojczyzny do dyspozycji dobrego jej syna Ignacego Paderewskiego”<sup>30</sup>;  
1919 – wpłata na ratunek Ślązaków i na warmiński komitet plebiscytowy;  
październik 1918 – ofiara „na skarb Królestwa Polskiego z okazji zmartwychwstania Polski”<sup>31</sup>;  
styczeń 1920 – dokonana wraz z innymi prawnikami wpłata „na żołnierza polskiego dla uczczenia rocznicy przyjazdu do wolnej Polski wielkiego obywatela Ignacego Paderewskiego”<sup>32</sup>;  
lipiec 1920 – datek na wojsko polskie, aby „zwątpieniu zapobiec, moc ducha zachować, wytrwaniem zwyciężyć”<sup>33</sup>.

Jak wynika z tej krótkiej listy wpłat, ani rosyjskie gimnazjum, ani wydziały Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego nie spełniły swej powinności rusyfikacyjnej wobec Józefa Żabińskiego, który – co widać – nie tylko wspierał materialnie różne ważne inicjatywy, ale także angażował się osobiście w pracę społeczną. Oto kilka przykładów. Już jako student został oddelegowany przez prezydenta Sokratesa Starynkiewicza do prac przy spisie jednodniowym ludności Warszawy, który przeprowadzono między 28 stycznia a 9 lutego 1882 roku. Podczas wyborów w 1907 roku w Warszawie był członkiem podkomisji wyborczej. Kilkakrotnie pracował w Komitecie kwesty listopadowej na wpisy szkolne – komitet organizował sprzedaż chorągiewek żałobnych, którymi zamiast kwiatów i zniczy lub oprócz nich ozdabiano groby we Wszystkich

Świątych i w Dzień Zaduszny, a dochód ze sprzedaży przeznaczony był na pomoc dla uczniów. W 1919 roku pełnił funkcję wiceprzewodniczącego komitetu kwesty na rzecz walki z analfabetyzmem. Rozprowadzano wówczas znaczki, a zysk przekazano do dyspozycji Polskiej Macierzy Szkolnej. Należał również do Rady Kół Szkolnych.

Praca jako źródło utrzymania miała dla Józefa Żabińskiego bardzo duże znaczenie, ale to gra w szachy była jego namiętnością. „A szachy wówczas i po miastach, i po dworach były bardzo rozpowszechnione. [...] W Warszawie w każdej niemal cukierence był zaciszny pokoik z szachownicami i z figurami”<sup>34</sup> – wspominał Ignacy Baliński, polski pisarz, prawnik i publicysta. Szczególną popularnością wśród sympatyków tej gry cieszyły się lokale Górskiego, Nowickiego, Pągowskiego, a także kawiarnia „Pod Dzwonnica” na placu Zamkowym, w gmachu Giełdy. Znana była też elegancka cukiernia u zbiegu ulic Miodowej i Kapitulnej, założona w 1821 roku przez Szwajcara Laurenta Lourse’a. Nazywano ją paryską lub francuską – wewnątrz miała wielkie lustro, marmurowe stoły, piękne srebra i porcelanę, żeby kojarzyć się z Paryżem. Okna wystawowe ozdabiano niespotykanymi nigdzie indziej fantastycznymi arcydziełami sztuki cukierniczej, którym często poświęcała uwagę warszawska prasa.

Właściciel zapraszał gości takim ogłoszeniem:

Lorent Lourse et Comp. ma honor zawiadomić prześwietną Publiczność tutejszej stolicy, że we czwartek następujący, to jest dnia 5 kwietnia, otwiera w domu przy ulicy Miodowej pod liczbą 483 kawiarnię w sposobie francuskim, w której będą dostarczane wszelkie artykuły do tej profesji należące w jak najlepszym guście, przynależytej czystości i przy akuratnej usłudze. Magazyn rzeczony będzie zawierał w sobie wszelkich gatunków ciasta, cukry, likwory, czekolady, tudzież wina zagraniczne, a to wszystko w jak najwyborniejszym guście i za umiarkowaną cenę. Nadto będą przyjmowane w tym magazynie różne obstalowania, jakie komu do domu zamówić będzie się podobało. Pochlebiam sobie przy tym, że wszyscy, którzy go swoim zaufaniem zaszczytują, tak wybornością gustu, jako i słusnością ceny zadowoleni zostaną<sup>35</sup>.



Cukiernia Laurenta Lourse’a w Hotelu Europejskim przy ulicy Krakowskie Przedmieście 13 w Warszawie. Wśród gości aktorzy Józef Chmieliński (pierwszy z lewej) i Mieczysław Frenkiel (drugi z lewej), 1931 r.

Osiągnąwszy sukces, Lourse wkrótce otworzył następną cukiernię – w gmachu Teatru Narodowego. Otrzymał też prawo prowadzenia bufetów w teatrach miejskich, gdzie miłośnicy sztuki mogli umilić sobie pobyt, nabywając słodkości w koszyczkach, skrzyneczkach czy bombonierkach wyłożonych jedwabiem. W 1873 roku Lourse przeniósł się do Hotelu Europejskiego, gdzie dostarczał kulinarnych wrażeń amatorom słodczy aż do powstania warszawskiego. W takich przyjemnych okolicznościach toczyło się życie przede wszystkim inteligencji. W czasie zaborów, gdy dostępnych było nader mało form aktywności publicznej, cukiernie i kawiarnie pełniły funkcje salonu. Do kawiarni chodziło się oczywiście na kawę i ciastko czy lody, ale przede wszystkim po to, by spotkać się ze znajomymi, porozmawiać, omówić ważne wydarzenia polityczne i artystyczne, przejrzeć prasę, którą prenumerowali i udostępniali szefowie lokali. Bywalczy wypracowali sobie własne nawyki, pojawiali się systematycznie w określonych miejscach, wiadomo było, kiedy i gdzie można kogoś spotkać. W jednych lokalach zbierali się na przykład pracownicy redakcji „Kuriera” albo aktorzy po spektaklu, w innych – literaci, prawnicy lub spiskująca młodzież. Ludzie się nie spieszyli, toteż w wielu punktach szykowano dla nich dodatkowe atrakcje, jak stoły bilardowe, domino, warcaby i szachy. Przyciągało to zarówno osoby mające ochotę sprawdzić swoje umiejętności w grze, jak i obserwatorów, którzy z rosnącą w miarę wypitych trunków namiętnością kibicowali grającym. Bolesław Prus tak opisał bywalców cukierni:

Wśród obłoków dymu, unoszącego się w pokoju, słabo oświetlonym kilkoma gazowymi płomieniami, odróżnić było można dwie grupy mężczyzn. Jedna z nich skupiła się okolo pary szachistów, druga otaczała wielki stół marmurowy.

Byli to artyści, adwokaci, asesorowie, a i literatów nie brakło. Każdy prawie z tych panów pędził żywot w kawalerskim stanie i każdy, ukończywszy robotę dzienną, uciekał od nudów domowych do cukierni, gdzie się mógł naśmiać, wytkłócić, a w najgorszym razie zobaczyć od dawna znajome fizjonomie<sup>36</sup>.

Józef Żabiński nauczył się grać w bardzo młodym (jak na tamte czasy) wieku, już jako gimnazjalista. Szczęśliwym trafem w szkole zaprzyjaźnił się z Arturem Poptawskim, z czasem znakomitym szachistą. Młodzieńcy razem poznawali arkana gry, osiągając coraz większe sukcesy, zapewne rywalizując o miejsce w szachowej hierarchii graczy. Ledwie rok po ukończeniu gimnazjum Józef objął dział szachowy w „Tygodniku Ilustrowanym”, gdzie notabene okazał się najmłodszym spośród redaktorów. W czasie studiów na Wydziale Fizyczno-Matematycznym Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego – Artur Poptawski również tam studiował – osiągnął tak wysoki poziom gry, że w latach osiemdziesiątych XIX wieku uznano go za jednego z najlepszych szachistów w Warszawie. Miał dziewiętnaście lat, kiedy wszedł do reprezentacji Warszawy na korespondencyjny mecz z Moskwą. W 1884 roku, jeszcze jako student, w II Turnieju Warszawskim zdobył tytuł mistrza miasta. W 1890 roku zaczął tworzyć swoje pierwsze studia szachowe, stając się pionierem w tej dziedzinie. Pod koniec XIX wieku zainicjował pierwsze w kraju konkursy kompozycji szachowej. W tym okresie prowadził szachowe kolumny w „Tygodniku Ilustrowanym” oraz

„Kurierze Warszawskim” (od 1886 roku). W „Kurierze..” opublikował przetłumaczoną przez siebie z języka czeskiego książkę *Zarys teorii zadań szachowych*, w 1913 roku włączoną do *Podręcznika do nauki gry w szachy*. W tygodniku ilustrowanym „Cyklista” ukazała się taka notatka dotycząca kompozycji zadań szachowych:

Od lat kilku daje się zauważyć i na tym polu ożywienie, zastugę czego należy przypisać „Kurierowi Warszawskiemu”, a szczególnie p. Józefowi Żabińskiemu, kierownikowi działu szachowego w tymże „Kurierze”. Jako wytrawny szachista praktyk i jeszcze lepszy teoretyk i znawca literatury szachowej, p. Żabiński powierzona sobie rubrykę szachową prowadzi bardzo umiejętnie i z rubryką tą liczą się pisma specjalne szachowe za granicą. Dzięki tej rubryce, w której czytelnicy zawsze znajdowali najlepsze kompozycje zagraniczne, i dzięki zachęce p. Ż[abińskiego] wśród naszych szachistów znalazło się kilku, którzy odważyli się przestać do redakcji „Kuriera” pierwsze swe próby kompozycyjne, i z czasem liczba kompozytorów szachowych wzrosła, i obecnie mamy już kilkunastu dość wytrawnych kompozytorów, o czym najlepiej świadczą trzy konkursy „Kuriera Warszawskiego” i zeszłoroczny konkurs „Tygodnika Ilustrowanego”<sup>57</sup>.

W 1897 roku Józef Żabiński zainicjował powołanie Warszawskiego Towarzystwa Zwolenników Gry Szachowej i razem z Janem Sobieszczańskim i Janem Brzezińskim podjął się opracowania statutu organizacji. To samo grono panów musiało także uzyskać zgodę władz guberni na zorganizowanie założycielskiego zebrania klubu. Kiedy w 1899 roku udało się doprowadzić do powstania Towarzystwa, wszyscy trzech działacze znaleźli się wkrótce w jego ścisłym kierownictwie: Żabiński został pierwszym prezesem, Sobieszczański przejął prezesurę po nim, a Brzezińskiemu w kwietniu 1900 roku na półtora roku powierzono funkcję wiceprezesa. Żabiński w 1901 roku poprosił, by chociaż na jedną kadencję uwolnić go od obowiązków członka władz Towarzystwa, zastrzegając, iż zawsze będzie służył radą i pomocą. Oczywiście zgodzono się na to, ale już w marcu 1903 roku Józef ponownie stanął na czele Towarzystwa po śmierci Sobieszczańskiego. W statucie stowarzyszenia można przeczytać, że jego celem był

[...] rozwój i rozszerzenie gry szachowej za pomocą zebrań szachowych, konkursów i turniejów.

#### § 2.

W tym celu Towarzystwu dozwala się zbierać, we własnym lub wynajętym lokalu, dla gry w szachy i w warcaby. Zabrania się urządzania balów i wieczorów, jak również gry w karty<sup>58</sup>.

Sprawami Towarzystwa zajmować się miał komitet złożony z dwunastu osób wybranych przez Ogólne Zgromadzenie. Według ustawy zebrania szachowe miały odbywać się codziennie, z tym że nie dłużej niż do wpół do drugiej w nocy. Za dłuższe przebywanie w lokalu przewidziano kary pieniężne. O godzinie czwartej lokal musiał być definitywnie zamknięty. Porządku podczas zebrań mieli pilnować prezes, wiceprezes komitetu i gospodarz lokalu oraz dyżurny członek komitetu. Oni oczywiście nie musieli płacić kar za zbyt długie siedzenie w klubie. Lokal Towarzystwa zamykano tylko „[w] trzy ostatnie dni Wielkiego Tygodnia, w pierwszy dzień Wielkiejnocy, w wigilię

Bożego Narodzenia i Trzech Króli i w pierwszy dzień Bożego Narodzenia”<sup>39</sup>. Osoby pełniące funkcje w Towarzystwie miały zatem bardzo czasochłonne powinności. Nic więc dziwnego, że nie wszystkie żony były zadowolone z zaszczytnych ról pełnionych przez mężów. Trudno uwierzyć, aby prezes i wiceprezes codziennie siedzieli w klubie do wpół do drugiej w nocy (mieli przecież pracę zawodową), ale z pewnością spędzali tam mnóstwo czasu.

Pierwszą siedzibą Towarzystwa był lokal klubowy w kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu 38. Składał się z czterech pokoiów i kuchni. Pierwszy pokój przeznaczono na szatnię i kancelarię, dwa następne na grę w szachy, a czwarty na odpoczynek, rozmowy towarzyskie i czytelną. W 1901 roku w Warszawie przy ulicy Bielańskiej 5 otwarto nowy lokal szachowy, o czym doniósł niezawodny „Kurier Warszawski”:

[...] sprawia wrażenie, jak gdyby w nim gromadzić się mieli sami lordowie; pluszowe meble, lustra w złoconych ramach, stiuki, elektryczne stołca na stropie, weranda, do której wieczorami dolatują dźwięki pysznej orkiestry i wesole śpiewy syren z pobliskiego ogrodu „Pod gwiazdą”.

Jednym słowem: komfort i elegancja<sup>40</sup>.

Lokal mieścił się w oficynie poprzecznej na pierwszym piętrze. Składał się z dużego salonu do gry, jadalni oraz wspaniałej werandy z widokiem na ogród, na której mogło się pomieścić aż dziesięć stolików. W dniu inauguracji największe zainteresowanie wzbudziła rozgrywka między Bolesławem Prusem a rejentem Józefem Żabińskim. Po skończonej grze gremium zasiadło do składkowej kolacji, a po toastach szampanem wrócono do rozgrywek, które przeciągnęły się do drugiej w nocy.

Utworzenie klubów szachowych nie sprawiło, że szeregowi szachiści zaczęli masowo wstępować do Towarzystwa i wypełniać sale klubowe, bo wiązało się to jednak z comiesięcznymi opłatami i koniecznością przestrzegania regulaminu. Tak więc niezależnie od istnienia klubów warszawskie cukiernie i zadymione kawiarnie dalej gromadziły graczy i sympatyków szachów. Oczywiście grywano także po domach, a informacje na ten temat można znaleźć w wielu książkach wspomnieniowych o życiu codziennym w XIX wieku i pierwszej połowie XX stulecia. Na przykład jeden z najbliższych szachowych kolegów Józefa Żabińskiego, Jan Brzeziński, do 1903 roku mieszkał w dworku w Pawłowicach pod Warszawą, gdzie często gościł przedstawicieli świata kultury – malarzy: Juliana Fałata, Leona Wyczółkowskiego, Teodora Axentowicza, Jacka Malczewskiego czy pisarzy Henryka Sienkiewicza i Bolesława Prusa. Ci dwaj ostatni byli wielkimi amatorami szachów, więc w dworku pawłowickim regularnie organizowano rozgrywki. Prus chętnie zasiadał przy szachownicy w warszawskich cukierniach; spotkać się można z opinią, że to właśnie on był najskuteczniejszym propagatorem szachów, znacznie przewyższając pod tym względem skądinąd zasłużonych członków Towarzystwa Zwolenników Gry Szachowej, którego notabene został honorowym członkiem. I nic dziwnego – dla wielu osób możliwość zobaczenia lubianego pisarza w trakcie rozgrywki szachowej stawała się impulsem do zainteresowania się grą. Bolesław Prus postanowił zrewanżować się

Towarzystwu za owo wyróżnienie i napisał felieton zatytułowany *Pochwała szachów*. Oto jego początkowy fragment:

W końcu roku spotkał mnie zaszczyt, za który szczerze jestem wdzięczny i rad bym okazać wdzięczność jego szanownym sprawcom. Oto – warszawskie Towarzystwo zwolenników gry szachowej mianowało mnie swoim honorowym członkiem.

Jest w tym mianowaniu spora szczypta złośliwości: pewnym osobom nadaje się tytuł członka honorowego w takim samym sensie, w jakim – wyprawia się złote wesele małżonkom, którzy już od dawniejszego czasu pożegnali obowiązki związane z... weselem żelaznym... Ale obok złośliwości – niemają rolę w tym wypadku odgrywa – fatalizm.

Fatalizm ów sprawia, że ile razy zbliżę się do szachistów, zawsze spotyka mnie jakiś „honor...” Był czas, że miałem szczęście grywać w szachy z dzisiejszym prezesem Towarzystwa, p. J. Żabińskim. Ten – po prostu zasypywał mnie honorami. Naprzód – robił mi ten honor, że grał ze mną. Po wtóre – robił mi drugi honor, ofiarowując „królową for...” I nareszcie zaszczycił mnie trzecim honorem, dając mi „mata” oznaczoną figurą, w oznaczonym miejscu, co znowu nie trafia się tak często!

Raz czy dwa razy „honorował” mnie także jeden z najstawniejszych europejskich graczy, p. Szymon Winawer – mniej więcej w taki sam sposób, jak to robił p. Żabiński. Miałem też honor grać jeszcze z jednym znakomitym szachistą, p. Taubenhausem, który posadził nas sześciu czy siedmiu (dalibóg nie pamiętam!...) każdego przy innej szachownicy, grał ze wszystkimi jednocześnie i... kosił nas jak trawę...

Czy więc teraz będzie się kto dziwił, że zostałem członkiem honorowym klubu?

Józef Piłsudski (z prawej) grający w szachy z Jędrzejem Moraczewskim (z lewej) w Wołczecku w 1916 r. Za Piłsudskim widoczny rotmistrz Władysław Belina-Prażmowski



Powiedziałem, że rad bym się choć w małej części wywdzięczyc szanownemu Towarzystwu, które, bez względu na zadziwiająco skromność moich szachowych kwalifikacji, nie wahało się przytulić mnie do swego łona.

Wywdzięczyc się – szlachetny to cel, ale, w jaki sposób?...

Kto przeczytał moją szachową autobiografię, ten chyba nie wątpi, że nigdy nie wystąpię na arenie europejskiej, ażeby genialnymi kombinacjami okryć chwatał nasze Towarzystwo szachowe... Mógłbym też zobowiązać się aktem regentalnym, że nigdy nie obmyślę nowego „gambita”, który odległym potomkom przekazałby nazwisko jego twórcy i – klubu, do którego należał.

Toż samo mógłbym powiedzieć o wynajdywaniu i rozwiązywaniu „końcówek”. A zaledwie parę razy w życiu udało mi się w partnerze moim wywołać zdumienie, mianowicie – gdy szachownicę położyłem w taki sposób, że – czarne pole znalazło się po prawej stronie gracza... Cóż więc pozostało mi do zrobienia?... Ha! muszę chyba coś napisać o szachach...<sup>41</sup>

**Prasa lubiła szachy i chętnie poświęcała miejsce informacjom o różnych konkursach, turniejach, rozgrywkach i oficjalnych wydarzeniach. W „Kurierze Porannym” z 21 listopada 1883 roku można było przeczytać: „Najciekawsze były zapasy szachowe między pp. J. Kleczyńskim i J. Żabińskim, które po sześciogodzinnej zaciętej utarcce, zakończyły się zwycięstwem dla p. Żabińskiego”<sup>42</sup>. A oto krótki przykład z Łodzi, z „Ilustrowanej Republiki” z 21 kwietnia 1927 roku:**

Wczoraj o godzinie 4 po poł. w lokalu łódzkiego towarzystwa zwolenników gry szachowej (Moniuszki 1), odbyło się uroczyste otwarcie drugiego turnieju o mistrzostwo Polski pod protektoratem prezesa rady ministrów Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Po krótkim przemówieniu reprezentant dostojnego protektora, p. wojewoda Jaszczołt, rozciął wstęgę, przeciągniętą u wejścia do sali gry.

Dłuższą przemowę wygłosił prezes polskiego związku szachowego, p. rejent Żabiński, nestor szachistów polskich; dał on rys rozwoju szachów w kraju i za granicą. [...]

Sala gry pięknie udekorowana, przegrodzona balustradą, za którą siedem stolików oczekuje bezkrwawej walki.

Na ścianie portret marszałka Józefa Piłsudskiego; zda się groźnie patrzy on spod krzaczystych brwi na grających, który też z nich zdobędzie ufundowaną przez niego nagrodę za najpiękniejszą partię.

W turnieju bierze udział piętnastu najsilniejszych szachistów polskich<sup>43</sup>.

**Piłsudski był wielkim miłośnikiem i mecenasem gry w szachy. Sam grywał bardzo często, chętnie patronował turniejom, fundował nagrody. W 1928 roku przekazał złote pióro dla zwycięzcy turnieju z okazji trzydziestopięciolecia Krakowskiego Klubu Szachistów. A na wspomniany już drugi turniej o mistrzostwo Polski wyasygnował tysiąc złotych jako nagrodę za najpiękniejszą partię zawodów.**

Działacze związkowi oraz działacze Łódzkiego Towarzystwa Zwolenników Gry Szachowej, obawiając się, że „ryzykowne nastawienie turniejowej gry może wpłynąć ujemnie na ogólny poziom i wartość partii, zwrócili się do Piłsudskiego z prośbą, czy nie zechciałby

zgodzić się na podzielenie tej nagrody”. Odpowiedź, jaką uzyskali, była charakterystyczna dla temperamentu Marszałka: „za najpiękniejszą partię turnieju przyznają 2000 zł!”. Tę decyzję już ze zrozumieniem skomentował prezes Polskiego Związku Szachowego, nestor środowiska, Józef Żabiński: „rozumujemy dopiero głęboką a trafną myśl protektora obecnego turnieju Marszałka Piłsudskiego, który oceniając doniosłe znaczenie szachów jako międzynarodowego łącznika i czynnika propagandowego oraz w zrozumieniu istoty przeczynnego ryzyka, chce przez swą wysoką opiekę i znaczne poparcie materialne wykrzesać z naszych szachistów nowe siły, nowe talenty, nowe iskry Boże”. Kwota nagrody zaiste była imponująca i przewyższała ówczesne uposażenie prezesa Rady Ministrów. Józef Piłsudski wiedział jednak, co robi, wszak w turnieju grali m.in. Akiba Rubinstein, Ksawery Tartakower, Kazimierz Makarczyk, Paulin Frydman, Teodor Regedziński. Z niektórymi z nich sam miał okazję potykać się przy szachownicy i na dodatek był dla nich wymagającym graczem<sup>44</sup>.

W 1926 roku dzięki staraniom Józefa Żabińskiego i innych działaczy z Warszawy, Łodzi i Śląska doszło do I Zjazdu Szachistów Polskich w Warszawie, w którym wzięli udział reprezentanci środowiska liczącego przeszło tysiąc sześćset zorganizowanych szachistów ze wszystkich stron kraju. W wyniku zjazdu powstał Polski Związek Szachowy, a następnego dnia odbyły się pierwsze Mistrzostwa Polski w szachach. Na czele nowo powstałego związku stanął Żabiński i pracował w nim do końca życia.

Jak w nawale pracy zawodowej oraz hobbystycznej toczyło się życie osobiste Józefa Żabińskiego? Matka doczekała wielkich sukcesów szachowych syna, jednak nie dożyła do jego ślubu i narodzin dzieci. Maria Żabińska zmarła 28 maja 1895 roku, mając lat siedemdziesiąt siedem, o czym zawiadomił przyjaciół „dotknięty bolesnym ciosem syn”<sup>45</sup>. Pochowano ją 31 maja na cmentarzu Powązkowskim w grobie rodzinnym Żabińskich. Jak podał „Kurier Poranny”: „Eksportował ks. Biały w asystencji duchowieństwa. Na trumnie złożonych było kilka wieńców, wśród których jeden miał napis «Drogiej mamusi od syna»”<sup>46</sup>.

Niecały rok później, 15 lutego 1896 roku, jak doniósł wszechwiedzący „Kurier Warszawski”, „w kościele św. Ducha (popaulińskim) ksiądz rektor Zygmunt Chełmicki pobłogosławił związek między panną Heleną, córką śp. Franciszka i Michaliny z Górskich małżonków Strzeszewskich, a panem Józefem Żabińskim, znanym prawnikiem, redaktorem działu szachowego w naszym piśmie”<sup>47</sup>. Panna młoda pochodziła z ziemiaństwa, urodziła się w Arcelinie, w majątku rodziców. Strzeszewscy herbu Pobóg byli znaną starą rodziną, pierwszy członek tego rodu zapisany w historii to Mikołaj ze Strzeszewa, kasztelan wiślicki w 1497 roku, senator notowany w aktach statutu wiślickiego. Franciszek Strzeszewski, ojciec panny młodej, był właścicielem Jarocina i Arcelina oraz sędzią gminnym z wyboru. Jego ojciec, Jakub Strzeszewski to zasłużony prawnik, prezes Sądu Apelacyjnego Królestwa Polskiego w Warszawie w latach 1860–1864. Helena miała sześcioro rodzeństwa, z którym była bardzo zżyta, więc Józef, od lat żyjący tylko z matką, na skutek ślubu stał się członkiem licznej rodziny. Gdy dodać do tego bliskich kuzynów, cioteczne i stryjeczne rodzeństwo, ciotki i wujów, krewnych i powinowatych, seniorów spokrewnionych rodów i kolejne rodzące

się dzieci, to robi się naprawdę tłum. Strzeszewscy, Górscy, Słupeccy, Chełmiccy, Chrząszczewscy, Kretkowscy – to tylko kilka najbliższych Helenie rodzin. Jak Józef Żabiński poznał swoją przyszłą żonę? Najprawdopodobniej przez któregoś z braci lub kuzynów dziewczyny, studiujących w Warszawie w tym samym czasie co on. Na pewno przed ślubem z Heleną Matyldą znał jej brata Józefa – studenta medycyny, oraz ciotecznego brata Antoniego Słupeckiego, przyszłego prawnika. To było naturalne – studenci warszawiacy wprowadzali w miejskie życie kolegów, którzy przybyli na uczelnię z prowincji. Kiedy przychodziły wakacje, następował w pewnym sensie rewanż – ci spoza Warszawy, mający odpowiednie warunki i otwartą na gości rodzinę, zapraszali mieszczuchów na letni wypoczynek. Obie strony były zadowolone – przybysze z miasta stanowili niewątpliwie urozmaicenie w lokalnym życiu towarzyskim, a sami mieli okazję nie tylko odpocząć i nabrać zdrowia, lecz także poznać nowych ludzi. Mogło to nawet skutkować mariażem, jak w wypadku państwa Żabińskich.



Helena Strzeszewska przed ślubem,  
1895 r.

# DZIECIŃSTWO JANIA, MANIUSI, HANI I ZIUCI

## ROZDZIAŁ 4

Po ślubie Helena wprowadziła się do kawalerskiego mieszkania Józefa przy ulicy Złotej, a następnie, gdy rodzina zaczęła się powiększać, przenieśli się do kamienicy przy Kapucyńskiej 3. Ulica Kapucyńska została przebita w 1865 roku w związku z parcelacją terenów skasowanego wówczas klasztoru Kapucynów. Do drugiej wojny światowej była ślepa i miała kształt litery S, z jednej strony zabudowano ją kamienicami, z drugiej przylegała do terenów klasztornych. Tę uroczą, maleńką, pełną zieleni uliczkę wyłożono drewnianą kostką, często wymagającą reperacji, ale panowała tam zupełna cisza mimo sporego ruchu dorożek dowożących klientów i prawników do hipoteki. Tak zapamiętał ją Eugeniusz Szwankowski, uczęszczający w latach dwudziestych zeszłego wieku do gimnazjum im. Stefana Batorego, mieszczącego się w owym czasie na końcu Kapucyńskiej:

Ulica Kapucyńska miała charakterystyczny ruch na jezdni – jeździły nią prawie wyłącznie dorożki, potem taksówki. Wozy, platformy, ciężarówki były na niej rzadkością, ślepo kończąca się uliczka nie była arterią przelotową. Chodnikami chodzili panowie z teczkami lub gromadzili się prowadzący sprzedaż i kupujący nieruchomości z pośrednikami. Nieraz też niepewny krok tych klientów hipoteki świadczył o oblewaniu transakcji. Rano i około drugiej gromadkami szli uczniowie z gimnazjum. Rankiem służące wybiegały do paru sklepików i jednego „kupca kolonialnego” na rogu Kapucyńskiej po butki i mleko. Gdy dni były pogodne, na spacer z pieskiem wychodziły panie adwokatowe, gdy niepogodne – służące. Czasem mama, pchając wózek z dzieckiem, korzystała z zacisznej ulicy i powietrza ogrodu kapucynów. Czasem przeszedł jeden lub paru policjantów, pan przodownik lub dzielnicowy z teczką, pan życia i handlu ulicznego<sup>48</sup>.

Budynek, w którym zamieszkali Żabińscy, był nowy, powstał w 1894 roku dla spółki Kossakowski i Szuch. „Fasada utrzymana w formach renesansowych, skromna, bez pretensji do jakiegokolwiek bądź kompozycji, uornamentowana została zwykłym wieńczącym gzymsem, takimiż obramieniami okien i boniowaniem parteru” – taki opis zamieszczono na łamach „Kurierza Warszawskiego” w 1895 roku<sup>49</sup>.

Kamienica była trzypiętrowa, frontem zwrócona w stronę ogrodu kapucynów. Mieszkańcy mogli z niego korzystać, dopóki księży świeckich nie zastąpili zakonniczy.



Pocztówka z Warszawy przedstawiająca ulicę Miodową róg Kapucyńskiej, wydana przez Franciszka Karpowicza na początku dwudziestego wieku

W domu zamieszkało wielu prawników, co nie było dziwne, gdyż mieli stąd blisko do najważniejszych instytucji sądowniczych w mieście. Niektórzy otworzyli tutaj lub w sąsiednich kamienicach kancelarie. W pierwszych latach XX wieku przyjmowali tu mecenasi Adolf Finkelhaus, Emil Waydel, Stanisław Bukowiecki, Edward Życki. W latach międzywojennych dom stał się własnością Jana Jaromłowicza, sędziego Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Mieszkał tu również inny sędzia tego samego trybunału – Wacław Borkowski, który zginął na miejscu podczas powstania warszawskiego<sup>50</sup>.

Mieszkanie Żabińskich było duże, przestronne. Składało się z pięciu pokoi – salonu, stołowego, dziecinnego, sypialni małżeńskiej oraz gabinetu Józefa, poza tym z kuchni, łazienki i toalety oraz szerokich korytarzy. Po obu ich stronach stały wielkie szafy, lecz nie utrudniało to komunikacji. Kiedy małżonkowie się wprowadzili, wydawało im się, że trudno będzie zagospodarować tak dużą przestrzeń, zwłaszcza że pierworodny syn Heleny i Józefa, urodzony 8 kwietnia 1897 roku jeszcze na Złotej, wciąż miał swoje łóżeczko w sypialni rodziców. Janio, czyli Jan Franciszek Dionizy Żabiński. Pierwsze imię dostał po dziadku ze strony ojca, drugie po dziadku ze strony matki. Trzecie to imię patrona dnia urodzin. Po synku 28 maja 1899 roku rodzina przywitana pierwszą dziewczynką, Maniusię, czyli Marię Michalinę Augustę. Rodzice dobrali imiona według tej samej zasady, co w przypadku Jania: pierwsze imię po babci ze strony ojca, drugie imię po babci ze strony matki i trzecie, które wypadło



Janio Żabiński w 1898 r.

w kalendarzu w dniu narodzin. Dwa lata później, 23 lutego 1901 roku, urodziła się Hanna, a następnie do rodzeństwa dołączyła Józefa, zwana Ziucią. Stało się to 14 stycznia 1904 roku. Najmłodsza szybko zaważadnęła sercami wszystkich członków rodziny, zyskując status rodzinnego pieśczochoa.

Kiedy Janio i Manusia byli na tyle duzi, że mogli zamieszkać poza sypialnią rodziców, dostali we władanie pokój dziecinny. Po pewnym czasie nastąpiła zmiana jego lokatorów: ulokowano tam dziewczynki, a ich brat musiał spać w stołowym. Raczej nie czuł się z tego powodu nieszczęśliwy, gdyż wtedy jeszcze nie było w zwyczaju, aby każde dziecko miało swój pokój. Zanim przyszedł czas nauki, maluchy spędzały cały czas na zabawie pod okiem bony, młodziutkiej panny Stasi. Poza nią u Żabińskich pracowały kucharka i pokojówka. Rodzina była zamożna, zatem dzieci wyposażano we wszystko, co według ówczesnej wiedzy miało im pomagać w rozwoju. Oczywiście nie dostawały zabawek codziennie. Tradycyjnie podarunki wręczano z okazji urodzin i imienin oraz Bożego Narodzenia. Jeszcze jedną okazją do otrzymania choćby drobnego upominku były wizyty składane rodzicom przez dalszą rodzinę i znajomych. A rodzina Heleny Żabińskiej była liczna, w dodatku żadna z jej siostr nie miała swoich dzieci, więc z przyjemnością obdarowywały siostrzeńców. Bracia Heleny doczekali się już wprawdzie potomstwa, ale rodzeństwo Strzeszewskich było mocno ze sobą związane i wszyscy się często odwiedzali, na czym korzystało najmłodsze pokolenie. Czym dzieci lubiły się bawić? Uniwersalną podstawę stanowiły klocki. Chłopcom dawano zabawki mające ich przygotować do męskich ról. Niestety, były to przede wszystkim militaria – szable, łuki, proce, pałasze i temu podobne. Chyba każdy chłopiec gromadził też armię ołowianych lub papierowych żołnierzyków, które staczały bezustanne bitwy i przeprowadzały strategiczne ofensywy.

Taki opis zabawy w wojsko znaleźć można we wspomnieniach brata ciotecznego matych Żabińskich, Czesława Strzeszewskiego, późniejszego profesora na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim:

Żołnierze papierowi stanowili armie różnych państw, które prowadziły ze sobą wojny, zawierały sojusze. Mało tego, każde państwo miało swoją walutę, swój bank emisyjny, skarb, to wszystko naturalnie mozolnie robione z papieru. Wojsko papierowe zostało urozmaicone i wzbogacone poprzez żołnierzy otowianych. Bitwy markowane przez wojsko papierowe były rozgrywane przy pomocy otowianych żołnierzy, okopów, umocnień z różnego rodzaju materiału. Za pociski służyły zwijane papierki wyrzucane przez gumki na wzór procy, one rozbijały okopy i zabijały otowianych żołnierzyków<sup>51</sup>.

Oczywiście dzieci były również zainteresowane wszelkimi pojazdami. I chłopcy, i dziewczynki uwielbiali dość wówczas drogie zabawki mechaniczne, poruszające się po nakręceniu kluczykiem ptaszki, myszki i inne figurki, a także rzecz jasna samochody. Starsze dzieci chętnie sięgały po gry edukacyjne, o ile tylko miały towarzystwo do wspólnej zabawy. W domu Żabińskich chętnych nie brakowało. Ojciec nauczył wszystkie dzieci grać w szachy, choć trzeba przyznać, że dziewczynki niezbyt się tą grą pasjonowały. Janio, którego ojciec często zabierał do klubu, okazał się utalentowanym szachistą – jeszcze jako gimnazjalista w 1913 roku wziął udział w seansie gry jednocześnie z panem Znośko-Borowskim. Był to w Warszawie pierwszy mecz tego typu, toteż wzbudził ogromne zainteresowanie. Gra trwała od wpół do ósmej wieczorem aż do wpół do czwartej nad ranem. Jako dorosły Jan zdecydowanie wolał jednak brydża.

Dziewczynkom kupowano wszelkie przedmioty mające od małego przyuczać je do wypełniania zadań matki i gospodyni. Przede wszystkim lalki. A wybór był duży – od najdroższych lalek paryskich, przez proste lalki gumowe i celulozowe, aż po ręcznie wykonane z gałganków, wypchane trocinami. Niektóre miały porcelanowe, a więc bardzo narażone na stłuczenie głowy, jedne mówiły „mama”, jeszcze inne miały prawdziwe rzęsy i zamykające się oczy. Bogate lalki dostawały własne domy czy wille, z pełnym wyposażeniem. Biedniejszym urządzano kącik na półce albo w szafce. Gospodarstwa lalek były pełne garnków, serwisów, ubranek szytych przez dziewczynki lub ich opiekunki. Córki chętnie też obdarowywano zestawami do wyszywania i innych robótek ręcznych, żeby od dzieciństwa nabywały konkretnych umiejętności.

W najtrudniejszej sytuacji był Janio, jedyny chłopiec. Czasami odgrywał rolę kochającego brata i małą Ziucię (siedem lat od niego młodszą) wozził na własnych plecach jak na koniku, co z pewnością bardzo się malutkiej podobało. Opisał to nawet w książce. Generalnie lubił się bawić z dziewczynkami, nawet lalkami, jednak siostry nie zawsze miały ochotę dostosowywać się do jego poleceń i pomysłów. Żeby zająć się tym, co lubią chłopcy, musiał czekać na odwiedziny kuzynów. Ale co się dziwić, skoro aranżował na przykład takie sytuacje:

[...] kazałem więc moim młodszym siostrom chodzić w zaprzęgu na rękach i kolanach. W rezultacie skarżyły się one, że jest im niewygodnie, a ja też niestety nie miałem żadnej

przyjemności, bo najpierw takie konie szły bardzo wolno, a poza tym od ich tylnych „kopyt” sterczały długie wyrostki w pończochach i bucikach. A takich kikutów prawdziwe konie nie miewają<sup>52</sup>.

Wigilia Bożego Narodzenia jest dniem wyczekiwany przez wszystkie chyba dzieci. Nie inaczej było z małymi Żabińskimi. Nie mogli się doczekać prezentów. W ich rodzinie podarunki kupowali i kładli pod choinkę sami rodzice i krewni, a nie – jak w innych domach – Mikołaj, Aniołek czy Gwiazdorek. Sytuacja była więc jasna – gdzieś te prezenty musiały się znajdować, zanim trafiły pod drzewko. Mimo intensywnych poszukiwań po wszystkich domowych schowkach dzieciom nigdy nie udało się wypatrzyć paczuszek przed czasem. Jan wspominał po latach:

Dopiero po zjedzeniu tradycyjnej Wieczerzy Wigilijnej, kiedy końcowa potrawa – kluski z makiem, za którymi w zasadzie przepadaliliśmy – w napięciu emocji mimo wszystko wzięta nam kością w gardle, Ojciec wstawał od stołu i za chwilę cieniutki odgłos szklanego dzwoneczka, zawieszzonego na choince (obowiązkowo czubkiem sięgającej sufitu) był sygnałem, iż nareszcie wolno rozpocząć drugi akt ceremoniału.

Jak lawina, całą watahą rzucaliśmy się do salonu, aby rozrywać sznurki na stosie paczek leżących pod drzewkiem<sup>53</sup>.

Żabińscy mieli jeszcze jedną tradycję wigilijną, tym razem bardzo przykrą dla dzieci. Na pewno nie wymyśliła jej Helena, to musiał być pomysł Józefa. Otóż kiedy dzieci nabawiły się już prezentami, a raczej kiedy było w pół do dziesiątej i musiały iść spać, ojciec zabierał najdroższe, najwspanialsze zabawki i zamykał je na klucz w swoim biurku. Nie chciał, żeby tak wartościowe przedmioty trafiły do stosu innych rzeczy, takich do zabawy na co dzień. Te zamknięte wyciągał i dawał dzieciom do rąk własnych tylko przy wyjątkowych okazjach. Dzięki temu – powiadał – te zabawki mogą przetrwać o wiele dłużej niż pozostałe. Z pewnością Józef chciał zapewnić swoim kochanym dzieciom to, czego sam nie miał, ponieważ jego dzieciństwo upłynęło w ubóstwie. Jednak dzieci nie rozumiały intencji ojca, choć przecież wszyscy najlepsze ubrania wkładają tylko na wyjątkowe okazje, a najcenniejszy serwis wyjmują dla uczczenia najważniejszych gości.

Tak samo postępowali rodzice Freda i Klary z przewspaniałymi podarunkami od ich ojca chrzestnego, sędziego Droselmajera, co pięknie opisał E. T. A. Hoffmann:

Ilekoć ojciec chrzestny przychodził, przynosił dzieciom w kieszeni coś ładnego: zabawnego cztowieczka, który przewracał oczami i kłaniał się uprzejmie, szkatułkę, z której wyskakiwał ptaszek, lub inne cuda. Na Boże Narodzenie zaś przynosił zawsze niezwykły podarunek, z wielkim trudem i staraniem własnoręcznie sporządzony; dzieci niedługo się nim cieszyły, gdyż rodzice wkrótce zabierali go na przechowanie<sup>54</sup>.

Kiedy dzieci Żabińskich były małe, bardzo lubiły spędzać czas na świeżym powietrzu. Razem z boną, panną Stasią, chodziły do Ogrodu Saskiego, najczęściej do alei owocowej. Przychodziły tam również kuzynki Maniusia i Mizia Strzeszewskie oraz Malinka i Czesio Strzeszewscy. Ich bona, panna Lucie, była Francuzką, ale umiała

trochę mówić po polsku. Rozmawiała więc ze Stasią, a dzieci się bawiły. Dziewczynki prawdopodobnie przynosiły z domów skakankę, piłkę, serso, być może też dzisiaj zupełnie zapomniane, ale wówczas modne diabolo. Bawiły się w jaworowe dzieci, ojca Wergiliusza, komórki do wynajęcia czy czarnego luda. Ale Janio, o ile w domu chętnie bawił się dziewczynkami, na spacerze wybierał inne zajęcia. Uwielbiał taplać się w kałużach, wyszukiwać żyjątko w błocie, obserwować owady. Przynosił siatkę, zapewne także wiaderko czy słoik, i próbował złapać jakieś stworzonka. Już jako dorosły uważał, że swoje zainteresowanie naturą odziedziczył po mamie. Helena Żabińska bowiem wychowywała się na wsi, w majątku rodziców, gdzie miała okazję od najmłodszych lat zajmować się zwierzętami.

Toteż i pudel, i pawie, i srocza, i kurki-liliputki, a więc cały inwentarz należący do Helenki, otrzymywały wprawdzie wyżywienie z majątku, ale opieka, dogład i oprząkanie spadło na dziecko. Matka moja, choć jeszcze wtedy mała, wywiązywała się z tych zadań wzorowo, łatwo jednak sobie zdać sprawę, ile musiała w to wkładać pracy kosztem zabaw, którym beztrosko oddawało się starsze rodzeństwo [...]»<sup>55</sup>.

Nawiasem mówiąc, opowiadanie o tym, jak beztroskie życie wiedli młodzi Strzeszewscy, nie do końca jest prawdziwe. Ich ojciec Franciszek, ledwie czterdziestosześcioletni, zmarł, kiedy najstarszy jego syn miał dwadzieścia lat, a najmłodsza Helenka dziesięć. Majątek był całkiem duży, liczył ponad czterysta hektarów, i niełatwo się nim zarządzało Michalinie Strzeszewskiej, wdowie po Franciszku. Dużym wysiłkiem rodziny wszystkie siedmioro dzieci udało się wykształcić. Ich nauka stanowiła spory wydatek, a do tego należało dodać koszty utrzymania w mieście. Podobno żeby zdobyć fundusze na szkoły dla siódemki dzieci, sprzedano pięć włók lasu sosen masztowych, które w owym czasie były poszukiwane i drogie. Dziewczynki pokończyły pensje (Helena najprawdopodobniej sześcioklasową pensję Matyldy Karwowskiej przy ulicy Elektoralnej w Warszawie), potem jakieś kursy gospodarskie dla pańien. Najstarszy brat, Kazimierz, ukończył studia w Instytucie Rolnym w Puławach, średni, Józef, został lekarzem, najmłodszy zaś, Czesław, przerwał studia handlowe, żeby objąć rodzinny Jarocin. Wiele lat później, w 1954 roku, Helena opisała swoich rodziców w poemacie:

Jakich ja miałam dobrych rodziców!  
Wspomnienie o nich jest mi słodkie, mite.  
Podam tu parę z ich życia szkiców,  
To sami poznacie ich przymiotów siłę.  
Ojciec mój był mądry i zrównoważony,  
Zawsze nam dobrym przykładem świecił,  
Toteż był przez nas czczony i wielbiony,  
Spełnialiśmy chętnie wszystko, co zalecił.  
Niestety umarł w młodym jeszcze wieku,  
Osierocając żonę i siedmioro dzieci.  
Ludzie patrzyli na sieroty nie bez lęku,

Czy uda się je wydobyć z kłopotów sieci.  
Ale matka nasza była kobietą dzielną.  
Wzięta się do pracy, tłumiąc żal głęboki,  
I przez tę swoją pracę ofiarną  
Wychowała nas nie szczędząc troskliwej opieki.  
Dała nam wykształcenie i względny dostatek,  
Zyskawszy sobie ogólne uznanie.  
Teraz wszyscy już zmarli, ja zostałam na ostatek,  
Modląc się: „Połącz mnie z nimi, miłosierny Panie”.

**Wróćmy jednak do podstawowej sprawy, czyli zainteresowania Jana Żabińskiego fauną. Pisał:**

Jak sięgnę pamięcią wstecz – a więc jeszcze jako trzy-czteroletni chłopczyk – niestety nie lubiłem wszelkiego rodzaju zwierzęta. Ba! Lubią je wszystkie dzieci w tym wieku, ale moje lubienie było trochę inne. Mnie wcale nie korciło, żeby złapać muchę na szybie i zobaczyć, co zrobi, jeśli jej się oberwie skrzydełka, ani też nie zależało mi na tym, aby uganiać się z psem czy móc go od czasu do czasu pociągnąć za ogon lub ucho. Tkwiła we mnie już wtedy, jeśli można się tak wyrazić, jakaś żyłka hodowlana. Największym szczęściem było dla mnie móc karmić jakiegokolwiek zwierzę, przypatrywać się, jak je, i nabierać przekonania, że mu bardzo smakuje. A w czasie wakacji, jeśli tylko udało mi się wyrwać spod nadzoru starszych, godzinami przesiadywałem w budzie, gdyż tam wielka suka podwórzowa właśnie powita szczenięta<sup>56</sup>.

**Ta deklaracja brzmi pięknie, ale spójrzmy uważniej na fakty. Trzyletni Janio mógł chodzić i z pewnością chodził do Ogrodu Saskiego, ale najwyżej wolno mu było sypać okruszki ptaszkom i grzebać kijkiem w kałużach. W domu ojciec nie zgadzał się na obecność jakiegokolwiek zwierzęcia. Podobno dla higieny – żeby pies czy kot nie przynosił zarazków. Pozostały wakacje, które od najmłodszych lat Janio z siostrami**



Dwór w Baruchowie po drugiej wojnie światowej

spędzali w Baruchowie u cioci Mani. Kto jednak uwierzy w to, że trzylatkowi pozwolono by spędzić kilka godzin w psiej budzie? A w opowieść, że na tak długo wyrwał się spod nadzoru starszych? Bajka dla naiwnych! Owszem, na kilka minut mógł zniknąć, ale zaraz szukano by go do skutku. Wydaje się więc, że Janio CHCIAŁ tak zrobić, ale co najwyżej mógł podglądać psa z młodymi z bezpiecznej odległości. Ewentualnie podejść z opiekunką i podać jakiś przysmak.

Dzieci postrzegały Baruchowo jako prawdziwy raj. Dobra należały do Leona Kretkowskiego i jego żony Marii, starszej siostry Heleny Żabińskiej. Majątek był wielki (liczył ponad tysiąc hektarów), zadbany, z pięknym ogrodem i parkiem. Kretkowscy nie mieli własnych dzieci, więc tym chętniej gościli siostrzeńców i bratanków, a oni uwielbiali spędzać tam czas. Janio mógł zaspokajać wszelkie swoje potrzeby obcowania z fauną, lubił uczestniczyć w rozmaitych pracach polowych, tam nauczył się polować. Maniusia interesowała się roślinkami. W Baruchowie można było podglądać zwierzęta gospodarskie albo – jeśli się miało szczęście – leśne w parku, albo zauważyć jakieś stworzenia bytujące na polach. Nikt nie zabraniał jedzenia do woli owoców prosto z krzaka. Zabawom i zajęciom na świeżym powietrzu nie było końca. Maniusia lubiła też zaglądać do kuchni, chociaż akurat to nie podobało się dorosłym. Warto wspomnieć, że w rodzinnym domu przy Kapucyńskiej także pozostawała w dobrej komitywie z kucharką. Kiedy dziewczynka wchodziła do kuchni, kucharka zaraz podsuwała jej łyżkę z czymś do spróbowania i zarzucała pytaniami: „Panienko Maniusiu, jak ta zupa? A na sól? A na cukier? A na smak?”.



Franciszek Strzeszewski, ojciec Heleny, około 1878 r.

5	Wstęp
7	1 Jan Stefan Żabiński – ekscentryczny kasjer Mennicy Warszawskiej i mason
18	2 Jan Mateusz – pierworodny syn i pechowy urzędnik
23	3 Józef – wybitny szachista i solidny rejent
36	4 Dzieciństwo Jania, Maniusi, Hani i Ziuci
44	5 Początkowa edukacja Jania i jego pasje
47	6 Panienki Żabińskie na pensji pani Lange
52	7 Ukochane Zoppoty
57	8 Studenckie lata Jana
62	9 Dalsza edukacja Maniusi
65	10 Wakacje w Baruchowie
69	11 Wojna polsko-bolszewicka
76	12 Ostatnie lato w Baruchowie
80	13 Dalsze studia i praca Jana
85	14 Zamążpójście Maniusi
89	15 Wybory Ziuci
92	16 Hania – mężatka i lekarka
95	17 Jan w roli nauczyciela
99	18 Nagła śmierć Józefa Żabińskiego
103	19 Pierwsze lata pracy Jana w ogrodzie zoologicznym
108	20 Jan i Antonina
127	21 Kłódawskie kłopoty
133	22 W Zakrzewie
136	23 U Petrynowskich
139	24 Józio
143	25 Przedwojenne życie zoo
156	26 Lato 1939
164	27 Konspiracja w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych

169	28	Wysiedlenie z Kłodawy
174	29	Okupacyjne życie Zaorskich
178	30	Losy zoo i nowe zajęcia jego dyrektora podczas okupacji
195	31	Spotkania w ogrodzie zoologicznym i w getcie
208	32	Kolejni goście w zoo
218	33	Życie codzienne w willi Żabińskich
225	34	Współpraca z „Żegotą”
230	35	Nowa fala gości
242	36	Lato 1944
258	37	Wysiedlenia z Warszawy
276	38	Wyzwolenie
281	39	Długa droga Jana do domu
289	40	Po powrocie do zoo
310	41	Z życia kufaków w Kłodawie
316	42	Powojenne zoo a nowe władze
331	43	Młode pokolenie
345	44	Jan jako popularny radiowiec
355	45	Półka z książkami
362	46	Jan Żabiński dla prasy
370	47	Ostatnie lata w Kłodawie
376	48	Życie osobiste Jana i Antoniny
400	49	Ostatnie lata Maniusi
407	50	Następcy
408		Aneks
440		Przypisy
448		Bibliografia
454		Indeks nazwisk

Opracowanie graficzne i typograficzne: Jacek Mrowczyk  
Na okładce: Jadwiga z Moczydłowskich Żabińska, Antonina Erdman po ślubie Żabińska,  
Jan Żabiński; zdjęcia ze zbiorów rodzinnych.  
Redaktor prowadzący: Anna Rucińska  
Redaktor: Agnieszka Fedorowicz  
Korektor: Anna Dorota Kamińska  
Indeks: Teresa Czerniewicz-Umer  
Recenzent: Rafał Habielski

Sponsor wydania: Fundacja PWPW im. Juliusza Kuleszy



Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”  
Partner wydania: Dom Spotkań z Historią

Książka powstała we współpracy z Domem Spotkań z Historią ze środków  
Warszawskiego Funduszu Książki Historycznej



© Copyright by Teresa Czerniewicz-Umer, 2026  
© Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2026  
Dotożono wszelkich starań, aby ustalić autorów i właścicieli praw do wszystkich wykorzystanych fotografii.

ISBN 978-83-07-03666-3

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”  
ul. Wiejska 12 a, 00-490 Warszawa  
tel.: 22 583 14 07, e-mail: sekretariat@czytelnik.pl  
Warszawa 2026. Wydanie I  
Druk i oprawa: OZGraf

## SAGA WARSZAWSKIEJ RODZINY

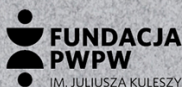
Centralną postacią książki *Żabińscy. Cóż to była za rodzina!* jest Jan Żabiński – zoolog, pierwszy dyrektor warszawskiego ogrodu zoologicznego, żołnierz wojny polsko-bolszewickiej, uczestnik Powstania Warszawskiego i jeniec niemieckich oflagów. W czasie okupacji wraz z żoną Antoniną, pisarką, ukrywał Żydów na terenie zoo. Po wojnie odbudowywał ogród, był promotorem restytucji żubra w Puszczy Białowieskiej oraz zastępował jako autor książek i popularnych audycji radiowych.

Poznajemy także dzieje jego przodków: dziadka Jana Stefana – urzędnika skarbowego i wolnomularza, ojca Józefa – rejenta i wybitnego szachisty – oraz historię jego silnych, wykształconych i odważnych siostr: Marii Czerniewiczowej, współtworzącej z mężem życie gospodarcze Kłodawy; Hanny Petrynowskiej, lekarki Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, zamordowanej w 1944 roku na terenie zakładu wraz z najciężej rannymi, których nie zdołano ewakuować po wycofaniu się powstańców, oraz Józefy Zaorskiej, chemiczki i żony zarządcy wielkiego majątku ziemskiego na Kujawach, aktywnej w sprawach społecznych.

Autorka Teresa Czerniewicz-Umer, członkini rodziny, prowadzi czytelnika przez dramatyczne i ciepłe zarazem momenty prywatnego życia wielopokoleniowej rodziny, ukazane na tle dwóch totalitaryzmów. Sięga do licznych źródeł – prasy, archiwaliów, dokumentów i wspomnień – tworząc opowieść opartą na faktach, a przy tym żywą i empatyczną.

To książka o patriotyzmie i humanitaryzmie, o odpowiedzialności za bliskich, za prześladowanych, za pracę, za zwierzęta, za kraj. O ludziach, którzy nie stali obok historii – lecz żyli w samym jej środku.

Sponsor wydania:



Partner wydania:

